Lwów, Niedziela dnia 22. Czerwca 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 21.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

O SPOŁECZNEJ TENDENCJI W NASZEJ POWIEŚCI.

Przypominamy czytelnikom naszym trzy artykuły wstępne drukowane w „Tygodniu“ na początku bieżącego roku, a noszące zbiorowy tytuł: „Cechy nowego zwrotu w literaturze.“ W artykułach tych powiedzieliśmy, że głównymi znamionami nowego kierunku w literaturze europejskiej są: realizm i tendencja społeczna i staraliśmy się wskazać, dlaczego tak jest, przedstawiając przewagę realizmu, jako następstwo nadzwyczajnego rozwoju nauk przyrodniczych, a tendencję społeczną jako symptom wywołany potężnem tętnem ruchu socjalnego w Europie. Powiedzieliśmy tam także, że tendencja społeczna obrała sobie za główne narzędzie powieść obyczajową. Artykuł obecny jest niejako dalszym ciągiem tamtych: w tamtych, mianowicie w ostatnim była mowa o tendencji społecznej w powieści zagranicznej, w tym będzie mowa o tendencji społecznej w naszej powieści.

Pierwsza rzecz, która nas uderza, kiedy zwracamy uwagę na tendencję społeczną w naszem powieściopisarstwie, jest to, że pojawia się ona zwykle pod skrzydłami tendencji narodowej, niejako jej podporządkowana, niejako dodatek do niej stanowiąca. Dla czego tak jest, każdy to odgaduje. Nie załatwiona kwestja samodzielnego bytu narodowego wciąż trzyma uwagę naszą na uwięzi i chociaż się zajmujemy kwestjami społecznemi, to zawsze łączymy je z tamtą sprawą. Dawniej, między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem, tendencja narodowa, prawie wyłącznie wcielała się była w naszą świetną poezję ówczesną; z zagaśnięciem tej poezji nie zagasła bynajmniej patrjotyczna tendencja, i przeszła niejako spadkiem na powieść obyczajową, szczególnie po latach 1861—63, których wypadki do najwyższego stopnia rozbudziły tę dążność.

W naszej więc powieści tendencji społecznej słusznie można dać nazwę społeczno-narodowej. Streścić się ona da w następujący sposób: „Chłopi są naszymi braćmi. Przez długie wieki zapominaliśmy o tem i obchodziliśmy się z nimi jak z niewolnikami lub gorzej nawet. Czas naprawić błędy wieków, czas ogrzać chłopów przy piersi własnej i natchnąć ich poczuciem obywatelskiem, narodowem. I chrześcianizm i patrjotyzm wymagają po nas tego. Tylko tym sposobem martwa siła narodowa stanie się siłą ruchomą, tylko tym sposobem naród osiągnie upragniony cel polityczny.“

U nas więc kwestja społeczna była tylko jakby narzędziem kwestji narodowego bytu, a przynajmniej najściślej z nią była spojona; za granicą, na Zachodzie, istniała zupełnie odrębnie. A nie tylko pod tym względem, ale i pod innymi zachodziła różnica: na Zachodzie chodziło głównie o materjalne podźwignięcie proletarjatu miejskiego, u nas proletarjat miejski prawie nie istniał i chodziło prawie wyłącznie o moralne podniesienie wieśniaków, o zasypanie przepaści dzielącej państwo od chłopstwa.

Taka to dążność społeczna przemawia z powieści Jeża, Kraszewskiego, Pługa i innych mniej wybitnie tendencyjnych powieściopisarzy. Zachodzi teraz pytanie, jak się wcielała ta tendencja w naszą powieść?

Kraszewski pierwszy wprowadził do powieści taką dążność społeczną, jaką określiliśmy wyżej. Jego Ostap Bondarczuk był wzorem dla całej serji bohaterów powieściowych z ludu, którzy wykształceniem zrównawszy się ze stanem szlachecko-pańskim a nawet go przerosłszy, na każdym kroku boleśnie się ranią o uprzedzenia i przesądy szlacheckiej kasty. Jego Ulana posłużyła również za model dla wielu bohaterek tego rodzaju. We wszystkich jego dawniejszych powieściach ludowych, Budnik, Chata za wsią, Jermoła, Ładowa pieczara i t. d, które przy ostatecznem obliczeniu działalności tego pisarza powinnyby zająć pierwsze miejsce w szeregu dzieł jego, we wszystkich tych powieściach wieje duch miłości dla ludu, i duch skargi nad jego niedolą. Ale ktoby szukał realnego przedstawienia tej niedoli u Kraszewskiego, ten by szukał daremnie.

Rysunek realnych stosunków rozpływa się tam w sentymentalizmie, jak linje jakiegoś krajobrazu w zamglonym widnokręgu. Jak wszystkie inne powieści Kraszewskiego, tak i ludowe zabarwia przeważnie sentymentalny idealizm i tendencji społecznej odejmuje drażniący jej charakter. Sentymentalizm ten zwykle wciela się w głównych bohaterów powieści, dla tego gdy występują oni jako przedstawiciele nowych prądów społecznych, nigdy się energją nie odznaczają i nigdy nie odnoszą zwycięstwa w walce z duchem kastowości.

U Jeża tendencja społeczna nie łączy się z sentymentalizmem, jak u Kraszewskiego, tem niemniej zdala się trzyma od realizmu. Wybujała ona w powieściach tego autora do tego stopnia, że przygłuszyła sobą wszelki interes powieściowy, psychicznej czy innej natury. Niektóre nowsze powieści Jeża — w dawniejszych bowiem tendencja nie występuje tak ostro-kościsto, nie jest tak sucho podaną — mają charakter traktatów społeczno-narodowych. O realizmie nie może tu być mowy; autor jest tak przejęty swoją tendencją, którą chciałby odrazu przelać w czytelników, że nie dba o to, czy powieść jego maluje prawdziwe szczegóły życia. Wszystko tu musi stosować się do tej wszechwładnej pani, która kształtuje rzeczywistość podług swoich gotowych formułek. Najjaskrawszy przykład takiej bezwzględnej wszechwładności tendencji w utworach Jeża podaje jedna z ostatnich jego powieści pod tyt. Lech, Czech i Rus. Jest to szereg nieprawdopodobieństw powiązanych z sobą allegoryczną nicią przewodniej myśli. Wszelkie ciepło życia realnego ulotniło się z tej powieści, wszelki niemal interes psychiczny zamarł; mamy tu do czynienia nie z ludźmi rzeczywistymi, ale z ideami i kierunkami politycznymi, które przybrały imiona osób ludzkich i niedbale rzuciły na siebie pozór ludzki, jakby tylko dlatego, ażeby usprawiedliwić nazwę powieści, daną temu narodowo-politycznemu traktatowi.

Jeż znajduje koło gorliwych czytelników,

którym się podoba, ale jest to szczupłe i wyjątkowe koło ludzi, dla których przewodnia myśl patrjotyczna jest wszystkiem, wcielenie zaś tej myśli w estetyczne kształty — niczem. Tacy ludzie nie mają oczu i uszu dla estetyki, tylko dla polityki. Na masy, do których serca trzeba trafić drogą wyobraźni, powieści Jeża (mówimy zawsze o późniejszych powieściach tego autora) nie mogą oddziaływać, bo bardzo mało dają pokarmu dla wyobraźni i zbyt szorstko się z nią obchodzą.

Tak więc powieść nasza z tendencją społeczną w głównych swoich przedstawicielach stroniła i stroni do dziś od realizmu, będącego jedną z głównych cech nowego zwrotu w literaturze Europy. Były już jednak i u nas usiłowania w celu skojarzenia tendencji społecznej z realizmem; istnieje już grono młodych powieściopisarzy, którzy przeważnie pod wpływem angielskiej powieści społecznej, starają się o wierne malowanie stosunków społecznych, chcąc aby z tego obrazu sama się wysnuła tendencja. Do tego grona należy Lam, Sienkiewicz, Prus a po części w niektórych powieściach swoich i pani Orzeszkowa. Można mieć nadzieję, że nieliczne dotychczas ich utwory są zadatkiem nowego zwrotu w naszej powieści społecznej, który z radością witać należy. Za dużośmy się nabujali nawyżynach idealizmu, czas spojrzeć na grunt, który mamy pod nogami, aby się na nim nie potykać tak często, jak to dotychczas miało miejsce. Jak zaś pojmujemy realizm, określiliśmy to w pierwszym z trzech artykułów, do których odwołaliśmy się na wstępie: nie ma on być ani bezmyślnem kopjowaniem natury, ani tem mniej sługą zmysłowości.

O tej młodszej społecznej powieści polskiej zastrzegamy sobie jeszcze głos w dalszych numerach *Tygodnia*.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

(*Ciąg dalszy.*)

XIV.

Wyszedłszy na ulicę z swymi towarzyszami Narcyz był całkiem bez humoru. Nie mógł na razie opuścić dwóch eleganckich paniczów, a paliła go chęć zawiadomienia jak najprędzej rodziców i siostry o okropnym szczególe, którego się dowiedział.

Wymyślał rozmaite sposoby przerwania zabawy i powrócenia do domu, dwaj kompanowie jednak silniejsi od niego w argumentowaniu, zawsze drogą najlogiczniejszą wykazali mu, że musi z nimi zostać.

Zobowiązanie było wzięte z góry, niełatwo było cofnąć baronowskie słowo, które go zobowiązywało na cały wieczór. Trzeba było chyba wymyśleć jakiś powód, przeciw któremu niepodobna byłoby wystąpić z opozycją, a takiego powodu zakłopotana wyobraźnia nie chciała Narcyzowi nastręczyć. Mówił, że jest trochę słaby, doradzono mu z cudowną szybkością działające medykamenta, proponował odłożenie zabawy na inny dzień, panicze odpowiadali, że innemi dniami rozporządzać nie mogą, lub że w inne dni do nich rewanż będzie należał, a teraz swej ofiary puścić nie myślą.

Ludziom nawet o dosyć silnej woli zdarza się niekiedy być przetrzymanymi wbrew swym chęciom przez serdecznych przyjaciół i zmuszonymi do rzeczy, które dla nich są wstrętne. Tem łatwiej zdarzyć się to mogło Narcyzowi, który ani silną wolą nie grzeszył ani w rozrywkach, do których był ciągniętym, nic tak wstrętnego dla siebie nie widział.

Po kilku zatem próżnych wysileniach wyrwania się i zaniesienia do domu wieści, której pismu powierzyć nie chciał, żeby w niepotrzebne ręce nie wpadła, zdał się na łaskę swoich towarzyszy, mówiąc do siebie:

— A no!... kiedy inaczej niepodobna... niechże tak będzie jakbym się o tym fatalnym wypadku dopiero jutro rano dowiedział.

Nieszczęśliwy!... ani się mógł domyślać jak dalece było potrzebnem natychmiastowe zawiadomienie.

Zbyt niedawno rozstaliśmy się z Rzewnickim, żeby czytelnik miał zapomnieć, że katastrofę serdeczną, jaka nań spadła tak niespodzianie przyjął nie chęcią zemsty lub rozpaczą, lecz rezygnacją.

Otóż rezygnacja jest uczuciem, które przedewszystkiem szuka współczucia i pociechy. Zemsta jak spiskowiec w tajni knuje swe plany, które jawność zwichnąćby mogła, jeżeli szuka ludzi to tylko wtedy, gdy się czuje bezsilną i ogląda się za wspólnikiem, nie za powiernikiem. Rozpacz nie tai się przed ludźmi, zdradza się i objawia, lecz czyni to mimowolnie, bez zamiaru, dlatego tylko że się utaić nie potrafi. Rezygnacja w podziale boleści przez współczujące serce znajduje balsam gojący.

Instynktownie myśl Emila poszukiwała kogoś, coby dłań mógł być tym balsamem.

Nie zatrzymała się przy nikim z bliższych znajomych, przy żadnym z tych przyjaciół, których w pogodnej chwili tuzinami naliczyćbyśmy mogli, a w nieszczęściu pamięć ani jednego przypomnieć nam nie potrafi, bo ani jeden całej pełni naszego zaufania nie pozyskał.

Czując się sam, odepchnięty, z sercem zmiażdżonem i duszą zbolałą, zatęsknił za dźwiękami szopenowskiej muzyki, za przyjaznem naleganiem ust życzliwych, które z duszy jego już dawniej chciały wydobyć tajemnicę serdeczną.

Stanęła przed nim w roli pocieszycielki baronówna, przypomniała mu się jej rozmowa, jej siostrzana życzliwość i poufałość...

Ukończywszy swą pracę całodzienną, ubrał się dość starannie, o ile w jego usposobieniu dbałość o tualetę była możebną i wyszedł z domu, wprawdzie bez wyraźnego postanowienia pójścia do Pogromskich, lecz nogi same go tam niosły.

Zastał wszystkich oprócz Narcyza Przyjęto go tak jak przyjmowano zawsze. Piękna Nina jeszcze milej niż zwykle, bo jej nie mogło się nie zdawać, że tak prędkie ponowienie wizyty miało na celu dokończenie rozpoczętej spowiedzi, której ciąg dalszy umyślnem przerwaniem odłożyła na później.

Rzewne i smętne usposobienie Emila, upewniało ją jeszcze bardziej w tem przekonaniu.

Nie wątpiła, że Emil zrozumiał dlaczego mu przerwała ostatnim razem rozpoczęte zwierzenia Miało to być dla niego rodzajem lekcji, żeby się nie posuwał za prędko, i zabiegi swoje zamknął w formie zwykłych, delikatnych, salonowych romansów.

Nina przedewszystkiem ciekawą była jak dalece uczeń z lekcji skorzystał, a potem... nie posądzamy jej o zupełny brak serca... myśl że Emil w niej się zakochał, sprawiała jej dziwną przyjemność. Im więcej się zastanawiała nad tą myślą, — a od ostatniej wizyty Rzewnickiego ciągle ta myśl, choć niepozorna, powracała do jej główki — im dokładniej sobie według własnych pojęć kształtowała i tłumaczyła jego charakter i postępowanie, tem więcej w tem przypuszczeniu, które dla niej już było czemś daleko lepiej określonem niż przypuszczenie, znajdowała zadowolenia i powabu

Samowładna pani w domu, nie miała trudności z usunięciem rodziców i zagarnięciem kuzynka na swoją wyłączną własność.

Po niejakim czasie zostali znowu sam na sam i miała się rozpocząć przerwana poprzednio rozmowa

Nina jemu pozostawiała początek. Może chcąc się jeszcze lepiej upewnić o prawdziwości swych przypuszczeń, nie chciała go zachęcać i ośmielać do dalszego ciągu forsownie stłumionych zwierzeń.

— Ciekawam czy i dzisiaj rozpocznie od polityki? — mówiła w duchu, patrząc z zajęciem na piękną twarz smutnie zadumanego Emila.

Emil wiedział z czem i po co przychodził, ale trudno mu było o pierwsze słowo, mające już stanowczo uchylić zasłonę jego bolesnych tajemnic sercowych.

Otworzył usta, pragnąc może wypowiedzieć to słowo, wypowiedział jednak tylko grzeczność, mogącą przecież mieć ważne znaczenie.

— Czy nie mógłbym poprosić pani o tego samego walca?..

Baronówna mile przyjęła ten wstęp, do samotnej pogadanki.

Prośba o „tego samego“ walca była niejako odesłaniem jej myśli do poprzedniego wieczoru razem z nią spędzonego. Inaczej tłumaczyć jej nie mogła. Może nawet, biegła w sztuce zalotności, wyraźniej tłumaczyła sobie tę prośbę: Emil mógł żądać muzyki na początku rozmowy, ażeby jej następnie za środek do przerwania jej nie użyto.

— Tego samego, koniecznie?... panie Emilu, — zapytała figlarnie.

— Jeżeli łaska pani... tak...

Była już przy fortepianie, nuty leżały przed nią, grała.

Grała pewno lepiej niż pierwszym razem. Wtenczas była pod wrażeniem chwili, ktora już przeszła, taraz oczekiwała wrażeń mających dopiero nastąpić. Oczekiwanie bardziej od rozpamiętywania budzi i podnieca uczucie.

Serce jej biło, a jego krew gorąca odbiegając arterjami dostawała się do paluszków i z martwej klawiatury przepysznego Pleyela, cudowne jej kazała wydobywać dźwięki.

Chopin tym razem stał się namiętnym tak jak zapewne nie był gdy komponował ten utwór. W melancholijne myśli pieśniarza wstępowała nowa dusza.

Ze względu czysto-artystycznego wykona-

nie całkiem było chybione, przez tę właśnie odmianę charakteru. Słuchacz rozkochany w Chopinie mógł nie poznać swojego mistrza —ale tym razem słuchacz był tylko jeden i upajały go te dźwięki.

Emil doznawał prawdziwej rozkoszy. Czuł że gra pochodziła z serca, bo serce dźwięczało w nutach, a jemu potrzeba było serca, aby w nie przelać część swojej boleści.

Gdy skończyła, ujął jej rączkę i złożył na niej pocałunek.

Było to nie po salonowemu, lecz po parafiańsku zupełnie. Nina jednakże nie wzięła mu tego za złe. Była dla niego w szczególnie łaskawem usposobieniu. Wiemy już, że mu przyznawała jedną z tych natur dzikich, które pod zimną i nieokrzesaną powloką kryją serca ogniste, skłonne do wulkanicznych wybuchów. Nie wymagała więc po nim ścisłego pilnowania konwenansów, bezwzględnego posłuszeństwa dla salonowego obyczaju, zwłaszcza w tej chwili uroczystej, którą jej wszystko zapowiadać się zdawało.

— Dziękuję pani za ten balsam pociechy — zaczął nasz bohater — przy takiej grze zapomina się o cierpieniach...

Zaczęcie było trochę nie takie jak się spodziewała baronówna. Pociecha, cierpienia, zapomnienie, wszystko to brzmiało dla niej cokolwiek niezrozumiałe.

Mimowoli jednak nastrojona do współczucia, odpowiedziała westchnieniem i spojrzeniem w którem było wiele pytania.

— Pani pamięta naszą ostatnią rozmowę? — odezwał się znów Emil.

Zapytanie to łagodziło efekt podziękowania. Gdyby nie następowało tak bezpośrednio po owej zagadkowej podzięce, może nie odpowiedziałaby tak szczerze.

— Pamiętam.

— Chciałaś pani bym ci mówił o dziejach mego serca — zdobył się wreszcie na wypowiedzenie tego co w duszy przyniósł Rzewnicki — dobrze... mówić będę... chętniej dziś niżbym mówił wówczas, gdyśmy zaczęli tę rozmowę i inaczej także zapewne. Wówczas nie czułem tej wewnętrznej potrzeby wypowiedzenia się, jaką czuje obecnie... dzisiaj mi bardziej jeszcze potrzeba współczucia.

Gdyby Nina mniej była pewną swego podboju, mogłaby już teraz przeczuwać, że to co nastąpi niekoniecznie będzie wyznaniem miłości dla niej. Pewność siebie jednakże wszystkie słowa Emila kazała jej tłumaczyć tak, jak je rozumieć pragnęła.

Jeszcze więc cała pod rozkosznem wrażeniem oczekiwania, gdy nasz naiwny bohater, nie domyślając się bynajmniej co robi, zaczął jej opowiadać że kochał bez nadziei, że aż dotąd łudził się jeszcze marzeniami, lecz teraz przygniotła go straszna rzeczywistość, bo jego ukochana idzie za innego. Pewny, że boleść swoją przelewa w serce siostrzanne, które z ochotą ją podzieli, opowiadał smutne dzieje swojego serca, nie spostrzegając nawet jakie one na słuchającej wywierały wrażenie.

A Nina, zepchnięta nagle z wysokości swych rojeń, wargi sobie przygryzała z gniewu tłumionego usilnie.

Ani większy zawód ani większa przykrość spotkać jej nie mogła, jak spotkała w tej chwili. Była najmocniej przekonaną, że Emil już do niej należy i dowiadywała się nagle, że nietylko nowa zdobycz mniemana nie była zdobyczą, lecz nawet nie domyślała się bynajmniej że ją zdobyć usiłowano.

Są bowiem rzeczy, do których nie potrzeba znajomości salonowego życia, żeby je wiedzieć. Gdyby Emil mógł zrobić chociaż najdalsze przypuszczenie, że baronówna spodziewa się, iż wdziękami swemi wywrze na niego wrażenie, gdyby się domyślał choć z lekka i niedokładnie, iż nad wywarciem tego wrażenia od pierwszego ujrzenia go pracowała, to już nie konwenanse światowe, ale prosta litość, albo chłopski zdrowy rozsądek, byłyby go ostrzegły, że z spowiedziami serdecznemi zwracać się powinien nie do niej.

Ją sobie obrał za powiernicę, więc jej cała praca była straconą.

Tłumiąc gniew, szarpiąc chusteczkę, wysilając się na pokrycie twarzy maską obojętności, a nawet chwilami znudzenia, które odegrać najtrudniej jej przychodziło, słowem prowadząc z samą sobą bardzo przykrą walką wewnętrzną, której biedny Emil wcale nie widział, baronówna sama nie wiedziała co ją wstrzymuje, że tego impertynenckiego opowiadania nie przerwie opryskliwem odejściem i zostawieniem opowiadacza samego.

My wiemy co ją przykuwało do miejsca.

Była to przedewszystkiem chęć pokrycia swego rozczarowania, swej porażki, chęć nie zdradzenia się z tem, że to co słyszy sprawiało jej ból i było najdotkliwszą jej miłości własnej obrazą.

Była to potem... instynktowna raczej niż obmyślana... chęć pomszczenia się na winowajcy. Nie robiąc sobie jeszcze takiej intencji, Nina czatowała tylko na chwilę, w której bez zdradzenia się i odkrycia mogłaby cisnąć w odpowiedzi Emilowi słówko, któreby mu zapłaciło za zniewagę jaką jej mimowiednie wyrządzał.

Słuchała tedy, a nawet potakiwała niekiedy.

XV.

Emil skończył opowiadanie, a los chciał że je złożył w ten sposób, iż Nina oczekiwanej sposobności przekonania go i przybicia go jednem słowem znaleźć nie mogła. Znać, że się spowiadał z uczuć szczerych, że jego wymowa prosto z serca płynęła, tak uczuciem warowna, że w niej zimne szyderstwo żadnego zrobić nie umiało wyłomu. Czuło się bezsilnem i ustępowało zwątpiałe.

Ustępowało, zamykało się w głębi myśli Niny i rozrastało w niej potwornie.

Gdyby mogła cisnąć krótkim, jędrnym a jadowitym sarkazmam, któryby opamiętał i obudził Emila, możeby się na tem skończyło. Skazana na milczenie i wysłuchanie wszystkiego, zadowolnić się już nie mogła tak małą zemstą, jakaby ją zaspokoiła w pierwszej chwili.

Wrząc w głębi piersi, układała plany i pomysły coraz nowe, aż nareszcie zatrzymała się przy tym, który najlepiej dogadzał jej miłości własnej, jej śmiertelnie obrażonej ambicji.

Pomysł ten cały zaczynał się w trzech złowrogich zgłoskach:

— Poczekaj!...

I gdy Emil zakończył, stała się nagle, siłą woli niby rószczką czarodziejską zaklęta, tem czem ją znaleźć się spodziewał — czułą siostrą, która wysłuchała serdecznych zwierzeń brata i z duszy pragnie być jego pociechą.

Niktby nie poznał po niej, że przed chwilą walkę najstraszliwszą przebyła, nikt, chyba ten coby dostrzegł, że w jej pociechach było więcej wabności i kokieterji niż serca — a więc z pewnością nie Emil, który poczciwie za lekarstwo duchowe brał balsamy wyrazów co z ust płynęły.

— Nie wiem — mówiła — ja może za idealnie pojmuję miłość, ale sądzę, że ci niepowinno być trudno o pociechę, kuzynie. W nieszczęściu twojem jest już szczęścia trochę...

Emil patrzył na nią, nie dobrze rozumiejąc jej słów znaczenie.

— Wszak ją kochasz?...

— A! pani...

— Miłością czystą, prawdziwą?...

— Czyż moja boleść, moje wyznanie, już same o niej nie świadczą?...

— A więc powinieneś pan pragnąć jedynie jej szczęścia... Ona będzie szczęśliwą... sam tak powiadasz... kocha... jeżeli nie jesteś egoistą, szczęście jej nie powinno ci sprawiać boleści.

Słowa te tak doskonale trafiły do przekonania zbolałego kochanka, że sobie prawie zaczął wyrzucać swą boleść.

— Nie wiem — mówiła dalej Nina — znam miłość dotąd z książek, tylko... teorety cznie... ale z tego com przeczytała, czegom się dowiedziała, utworzyłam sobie dziwne, bardzo dziwne pojęcie o tem co pospolicie za miłość uchodzi. Zdaje wam się, że kochacie, kochacie może nawet istotnie, ale wtedy tylko gdy spotkaliście wzajemność. Gdzie jej nie ma, tam to co jest szczęściem i jedynem dobrem, jedynem pragnieniem istoty ukochanej, z oczu waszych wyciska łzy. Łzy te w mojem pojęciu są grzechem wołającym o pomstę w katechizmie miłości... Ja gdybym kochała, zdaje mi się, że kochałabym inaczej. Jestem szczerą, panie kuzynie i spowiadam się przed tobą jak ty przedemną, najprzód z tego, że nie kocham, a potem z tego, że gdybym kochała tobym pragnęła szczęścia dla tego komu bym oddała moje uczucie, szczęścia bez najmniejszego względu na mnie. Jeżeli nie może być szczęśliwym ze mną, niech będzie szczęśliwym z inną. Co pan powiesz o podobnej miłości?...

— To byłaby miłość aniołów... myśmy ludzie.

—Dlaczegoż nie mamy powiedzieć sobie, że nasz obowiązek być aniołami?... Dla czegóż nie mamy zrozumieć, że świętość uczucia, które ożywia piersi nasze, brudzimy, jeżeli postępujemy tak jak nie aniołowie lecz jak ludzie postępować zwykli.

Emil nie był dyalektykiem w sprawach serca, filozoficznej strony uczuć nie zgłębiał, był więc pokonany i pobity na głowę paradoksami pięknej Niny. Nie potrafił jej odpowiedzieć nic więcej, prócz potwierdzenia:

— To prawda, pani — rzekł — my nie rozumiemy miłości... ja się powinienem cieszyć jej szczęściem... dla miłości mojej dosyć go być powinno... żądając... a nawet nie żądając, lecz myśląc... marząc o czemś więcej, grzeszyłem.

*

— Grzech ten będzie ci odpuszczony panie Emilu, rozgrzeszy cię z niego przyszłość— mówiła dalej baronówna — rozgrzeszysz się sam, jeżeli od dziś, od tej chwili, powiesz sobie: że pierwsze zadanie twego życia spełnione, bo ona będzie szczęśliwą i zaczniesz żyć na nowo, jak ten, co spełnił jeden z obowiązków życia, ale mu pozostały inne.

— Dzięki ci pani — odpowiedział Emil — odradzasz mnie, przypomnieniem obowiązku, wlewasz we mnie nowe siły... jeśli mi ich zabraknie, jeżeli poczuję, żem gotów upaść w dalszej walce życia, pozwól mi przyjść do siebie, po nową siłę, po nową pociechę.

— Proszę cię o to, a nawet chcę tego, kuzynie.

— A więc do zobaczenia się niedługo, pani...

—Do zobaczenia się prędko... koniecznie, bardzo prędko, panie Emilu.

Rozstali się.

Nina przez chwilę pozostała milcząca, zadumana.

— Powiedzie mi się — rzekła wreszcie do siebie, a twarz jej przybrała wyraz jakiegoś gorączkowego zadowolenia — powieść mi się musi, koniecznie!... A! tak idzie, panie Emilu... Poczekaj!... przyjdzie chwila że oddam piękne za nadobne... odegram taką samą scenę, lecz role będą odmienione... Rozpocznie się walcem Chopina... potem... ktoś... o! nie ja pewno... będzie miał na ustach słowa miłości i zostanie za to wybranym na powiernika... Znajdę sekret serdeczny, żeby się nim pomścić na tobie i rozedrę ci serce, choćbym miała zaimprowizować historję. Niedługo... bardzo niedługo... im prędzej tem świetniejsze zwycięztwo. Ha!... wtedybyś dopiero tryumfował, gdybym go nad tobą nie odniosła.

Z tego gorącego pragnienia zemsty czytelnik zgadnie łatwo, że nietylko obrażona duma, doznany zawód miłości własnej były dla baronówny działania pobudką. Było tam na dnie serce, które się budziło i do świadomości przychodziło powoli, serce, które nie wyznawało wcale paradoksalnych zasad idealnej miłości, jakie głosiły Emilowi usta pięknej Niny.

A kiedy było serce, to nietrudno dostrzedz, że w komedji jaką osnuła najtrudniejsze na końcu czekało baronównę zadanie. Pocieszyć Emila, zmusić go do zapomnienia o Natalii siłą pięknych oczu i wymową zręcznego paradoksu łatwiej może było, niż rozkochać go w samej sobie, a rozkochać łatwiej jeszcze niż w tej stanowczej chwili, o której marzyła Nina, zachować dość krwi zimnej, potrzebnej do zemsty.

Jakby na powiększenie tych trudności w rusztowaniu pozorów, na których opierało się wszystko, zaczynały się usuwać podpory. Szczęście Natalii, w imieniu którego można było kazać Emilowi zapomnieć o niej, było już rozbite i złamane — nazajutrz miała się wydać wielka tajemnica i nowe zaprowadzić stosunki między obrażającym i obrażoną, między mścicielką a człowiekiem, co miał paść ofiarą jej zemsty.

Tak plany ludzi padają w zwaliska.

Emil o niczem nie wiedzący co zaszło i co zajść mogło, wrócił do domu spokojniejszy. Balsam działał szybko i skutecznie. Obok wspomnienia Natalii stawał mu w pamięci obraz Niny, ocierającej jego łzy i mówiącej:

— Patrz, ona szczęśliwa... jej szczęście twojem być powinno.

Zdawało mu się, że to zdanie czemś odeprzeć potrzeba, nim mu będzie wolno jęknąć albo westchnąć boleśnie, czuł bowiem, że miał przyrodzone prawo uważać się za nieszczęśliwego w tem położeniu w jakiem się znajdował, czuł że mu tego prawa nikt wydzierać nie powinien, ale ani na odparcie rozumowania Niny, ani na obronę tego prawa, które każdy podobnie nieszczęśliwy wykonywał dotąd bez zakwestjonowania, nie miał sam w obec siebie argumentów, ani siły.

W chorobie serca jaką cierpiał, Nina gwałtownie podrażniła jego rozum i pobudziła go do działalności. Wiedziała czy nie wiedziała o tem, że natężona działalność rozumu jest dziwnie skutecznem na boleści serca lekarstwem, trudno odgadnąć, dość że instynktem czy świadomie obrała drogę najlepszą do pokierowania Emilem tak jak nim pokierować pragnęła.

Gdyby nie ona, Rzewnicki, mówiąc stylem poetów, kąpałby się w krwi swego serca zranionego i jedyną jego rozkoszą, jedynem zajęciem, wyłączną życia jego treścią, stałaby się może na bardzo długo ta osobliwa a okropna kąpiel. Pod jej wpływem przemówił do niego głos obowiązku. Uznał, że spełnił pierwsze zadanie swego życia, albo raczej że los je wypełnił za niego. Padł ofiarą szczęścia Natalii i boleć go nawet zaczynało że nie sam się poświęcił na tę ofiarę, lecz że zbieg okoliczności był tym razem arcykapłanem, co jego miłość złożył na ołtarzu idealnego bóstwa, któremu ludzie dotąd w wyobraźni tylko potrafili wznosić posągi — szczęścia. Jedynym środkiem zdobycia sobie jakiejś zasługi w tej ofierze było powiedzenie sobie samemu, wlanie w siebie przekonania, że gdyby go ów arcykapłan nie poświęcił, on samby siebie złożył na ofiarę. Po krótkiej medytacji Emil uwierzył, że takby było niezawodnie. Przypomniał sobie swą rozmowę z Gustawem, zaczętą od witania przez polę, dostrzegł w niej heroizm i rezygnację, dwie zalety, których jej rzeczywiście nie brakowało; zrobił krok jeszcze jeden w krainie kontemplacji, w której to całe rozpamiętywanie odbywał, i doszedł do przekonania, że nawet bez podniety danej przez Ninę, jego własne serce prowadziło go instynktownie tą drogą, jaką mu ona wyraźnie wskazała. Zaczynał być dumnym z siebie, co było już oznaką zabliźniania się rany serdecznej.

Niech nikt nie sądzi, żeby ta rana nie miała być głęboką, kiedy się zabliźniała tak prędko. Miała ona pozostawić po sobie ślady na zawsze, szramy niezatarte, boleść ożywiającą się w przyszłości pod każdym wpływem drażniących wrażeń, miała może odrętwić i ubezwładnić na długo lub na wieki organ, który skrwawiła i rozdarła — goiła się przecież powierzchownie bez oporu, skutkiem cudownych własności lekarstwa.

Niedługo potem Emil zastanawiać się zaczął nad tem, co pocznie z nową swego życia epoką, którą rozpoczynał po zamknięciu pierwszej, serdecznej.

Jedyną myślą jaka mu przyjść mogła, jedynem zadaniem jakie mógł uznać godnem siebie, była praca, ciągła i wytrwała praca w zawodzie który obrał, praca która pracowników robi pożytecznymi obywatelami, a życie im uprzyjemnia, bo je wypełnia sobą tak, że obok niej nie pozostaje miejsca na niepraktyczne marzenia, na niesmak, nudę, na dręczenie samego siebie wskrzeszaniem wspomnień doznanych boleści, doświadczonych zawodów, niespełnionych planów i rojeń.

Obudziły się w nim nagle jego dawne widoki i zamiary, które dotąd spały spokojnie w głowie, ukołysane przez miłość, nie zgadzającą się z niemi, bo nie mającą praktycznej podstawy. Uczuł w sobie jakąś gorączkę pracy, jakąś żelazną wolę wypłynięcia na wierzch, wyjścia na szerszą widownię, działania. Z czasów, w których go poznaliśmy, wiemy że choć miał serca wiele i choć mu czasem prowadzić się pozwalał tam gdzie mu rozum iść odradzał, był jednak człowiekiem praktycznym. Dosyć przypomnieć jak walczył z sobą w czasie poznania Natalii i że przez cały czas jej znajomości rozkochany namiętnie, nie doszedł nigdy do zapomnienia się i pozwalając na wiele swej miłości, nigdy jej nie pozwolił żeby się wynurzyła wyznaniem. Dłużej możeby nie mógł zostać jej panem, możeby go w końcu wola zawiodła, rozsądek mógłby kapitulować, nie myślimy temu zaprzeczać. Ale w tej chwili, po stanowczej serca porażce, w monarchii jego ducha zmienić się musiało zachwiane stanowisko dotychczasowego ministerjum. Wola i rozsądek zbyt wiele miały na poparcie swego postępowania do powiedzenia, zbyt silnemi argumentami udowodnić mogły, że gdyby im wyłącznie był pozostawiony kierunek spraw wewnętrznych i zewnętrznych, nie byłoby przyszło, do takiej fatalnej klęski — ażeby człowiek, ten król konstytucyjny swych własnych sił duchowych, namiętności i popędów, miał im podbierać teki, kiedy pod pierwszem wrażeniem przegranej bitwy nie zamknął uszu na ich głos.

Wszystkie zatem plany pracy, jakie sobie tworzył kiedyś, obierając zawód handlowy, przesuwać się przed nim zaczęły pstrą kalwakadą.

Długo się w nich rozglądał i nim się zaczął zastanawiać nad praktyczną podstawą, na której by je oprzeć można, nad kapitałem zakładowym, tem rozpędowem kołem w machinie interesu, którego niestety nie było, sen skleił jego powieki.

Marzenia senne są bezładną kombinacją tego co się świeżo przemyślało albo doznało. Wrażenia doświadczone mięszają się w nich jedne z drugiemi i układają jak w kalejdoskopie w fantastyczne obrazy, czasem dziwnie urocze, czasem pogmatwane i mgliste.

Wrażenia jakich doznał Emil w dziwnie nieprawdopodobny złożyły się obrazek.

Przedewszystkiem podstawa pieniężna do wszystkich praktycznych planów, o której ledwie że zaczął myśleć przed samem zamknięciem powiek, znalazła się na samym wstępie do krainy snu.

Czuł że miał pieniądze, dużo pieniędzy — jakim sposobem do nich przyszedł nie wiedział i zastanawiał się nad tem, bo w śnie tysiące rzeczy niepojętych na jawie stają się naturalnemi i prostemi, skutkiem logiki właściwej marzeniom.

Był więc kapitalistą i nie miał kapitału w kassie ogniotrwałej, ani go nie mieścił na hypotekach lub w procent przynoszących papierach.

Obracał nim. Kapitał jest dziś osią świata. Z dumą kręcił korbą koła które ruch nadawało cząstce tej osi.

Zakłady handlowe, które rozwinął na wielką skalę, fabryki które pierwszy zaprowadził w kraju kwitły pod jego kierunkiem.

Dawał pracę setkom rąk, chleb setkom rodzin, lecz tego było nie dość jego działalności zapaleńczej. Wciąż tworzył nowe plany, coraz dalej rozszerzał zakres swej pracy.

Aż go to planowanie ciągłe znużyło wreszcie i zatęsknił za chwilą spoczynku.

Z kantoru, w którym przed chwilą podyktował listy do ognisk handlowych wszystkich części świata, pospieszył do domu.

Domem tym nie było jego dotychczasowe mieszkanie kawalerskie. Bez zdziwienia wchodził w wytwornie przystrojone salony, rozłożone szeregiem jeden za drugim, świecące się od przepychu żyrandoli i zwierciadeł.

Była to stolica jego działalności, czuł się w niej u siebie, wiedział że znajdzie spoczynek, że tu na chwilę schronić się może przed nawałami interesów które pozostawił za progiem.

Przeszedł salon jeden i drugi, w trzecim czekała go, piękniejsza jeszcze niż na jawie, uśmiechnięta, strojna w brylanty i koronki, Natalia.

Sen zawsze do swojego powraca. Człowiek na którego ręku skonała najdroższa istota, rozmawia z nią jak tylko uśnie i zapomina, że ją oddał ziemi.

Bo też sen nie byłby szczęściem, gdyby nie był zapomnieniem.

Natalia nie była samą. Towarzyszyła jej Nina. Jak dwie siostry splecione w jeden uścisk podbiegły na przywitanie brata i męża, a on z różnem lecz żywem szczęściem witał obiedwie.

Błogość ta trwała krótką chwilę tylko. Dla nagłego jakiegoś interesu odwołano Emila do salonu.

W salonie czekał na niego młody człowiek, młodszy i piękniejszy niż był w istocie, na widok którego nagle zlodowaciało serce i dreszcz przebiegł Rzewnickiego.

Był to Gustaw.

—Prawdziwie panie - mówił do Emila— wskazując na jakiś obraz — tylko ostateczna potrzeba zmusza mnie do sprzedania panu tego obrazu, drogiej pamiątki chwil niedawnych, kiedy mi za model mimowiednie służyła najdroższa moja...

Emil spojrzał na obraz i zobaczył rysy Natalii.

Gdzie się w tej chwili podziały salony, żyrandole, zwierciadła, Gustaw, obraz i jego własne szczęście, nie wiedział.

Obudził się z okropnym bólem głowy.

(C. d. n.)

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

VII.

Komitet franco-polski zawiązany 28 stycznia 1831 pod prezydencją jen. Lafayetta, odegrał ważną rolę na zachodzie w obec opinji powszechnej i pozyskania współczucia dla sprawy polskiej. Chociaż znany jest on bardzo wielu Polakom z niektórych swych uczynków; a od czasu do czasu krótkiemi odezwami po dziś dzień daje znak życia; pomimo to jednak bardzo mało było napisano o nim po polsku. Pozwalam więc sobie trochę szerzej tutaj się zastanowić, a to tem bardziej, że od początku do dziś dnia archiwistą przy nim jest Leonard Chodźko, że on był jednym z głównych jego założycieli i on stał się głównym czynnikiem jego rozwoju.

Przy samem założeniu komitet przybrał nazwę komitetu centralnego na korzyść Polaków (Comité central en faveur des Polonais), a w pierwszej swej odezwie w dzień zawiązania swego woła: „Polska! i któregoż Francuza serce nie wzruszy się na to imię? Ona była podzielona, a Francja XVIII wieku przez sromotne milczenie pochwaliła skandal tego podziału. Wybuchła nasza rewolucja i wnet Polacy zjawili się we Francji. Przez 20 lat nasza sława była ich sławą i nasze marzenia ich marzeniami: Cesarstwo Francuzów skruszyło się i Polska zginęła z nami. Nie masz więcej wolności dla niej, gdy Francja nie była niezależna; nie masz więcej wielkości Polski, gdy Francja doświadczyła kolczatych wideł restauracji.“ A dalej kończy odezwa tak: „Jest więc współczucie którego nie zabraknie dla tej świętej sprawy. Nigdy nie widziano więcej wzniosłości, patrjotyzmu, jakim zajaśniały kobiety polskie; mienie, drogocenne podarunki, wszystko aż do ślubnych pierścieni złożono na ołtarzu ojczyzny. Kobiety francuskie współdziałajcie kobietom polskim!!“... Pięćdziesiąt imion znakomitych ludzi we Francji całej podpisało odezwę, a śród nich oprócz *Lafayette'a*, *Lasteirie* i *Dutrone* znajdujemy *Berangera*, *Davida*, *Hugo W.*, *Zellnera*, później tak potężnych *Odillon Barrot'a* i Kazimierza *Delavigne*, jenerałów *Carbonnela*, *Decaen*, *Demarcay*, *Dumas*, *Fabvier*, *Subervie* i kilku posłów. Komitet ten od razu zawezwał do składek na rzecz Polski i przystąpił do organizowania podobnych komitetów wszędzie po prowincjach. Organizacja ta szerzyła się coraz bardziej, a składki obfite płynęły i długie ich listy rozsyłano przy najpopularniejszych dziennikach ówczesnych.

Od tego czasu zaczyna się walka parlamentarna 31 roku o uznanie nas stroną wojującą przez Francję. W dzień wydania odezwy komitetu centralnego franco pol. Lafayette zabrał głos w izbach w sprawie naszej.

„Dyplomacja niegdyś tajemnicza i złożona, codziennie będzie się stawała prostszą i popularniejszą; prasa rozprasza jej tajemnice, trybuna je osądza, a opinja powszechna modyfikuje; rachuby rodzin i tradycje gabinetów upadają w obec interesów i woli narodów...... Z trybuny tej mówiłem niegdyś, że w świecie widzę dwie kategorje: *ujarzmicieli* i *ujarzmionych*; dziś powiem, że dwie zasady dzielą Europę: *prawo zwierzchnicze narodów* i *prawo boskie królów*; z jednej strony *wolność* i *równość*, z drugiej *despotyzm* i *przywilej*. Nie wiem czy dwa te pierwiastki mogą żyć w dobrem sąsiedztwie; ale wiem, że nasz jest w postępie ciągłym, pewnym i niewzruszonym; że powinniśmy być mu wiernymi wszędzie i w zupełności i że wszelka nieprzyjaźń względem nas przyspieszy jego tryumf.“ Dalej w obec ministrów Lafayette mówił: „Jestem pewnym, że nikt z nich nie zada kłamstwa dziś określeniu jakie dałem naszemu systemowi *nie wdawania się*, kiedy mówiłem, że każdy raz gdy jaki naród, jaki kraj w Europie, gdziekolwiek byłby on położony, upomni się o swe prawa, że chce doświadczyć własnego samorządu, wszelkie wdanie się obcych rządów dla położenia mu zawad, będzie równożyło wypowiedzeniu bezpośredniemu i urzędowemu wojny z Francją, nie tylko z powodu naszych obowiązków względem ludzkości, lecz że to będzie napad bezpośredni na zasady naszego istnienia, restauracja zasad *Pilnitzkich i świętego przymierza*, usprawiedliwienie przyszłego najazdu na nas, zamiar oczywisty zdławienia naszego przyrodzonego sprzymierzeńca, ażeby nareszcie rozwalić rdzeń wolności w naszych wnętrzach, — u nas, cośmy wysunięci na czoło cywilizacji europejskiej.“ A wyłożywszy co są prawa narodu, poparłszy przykładem Belgów tak się zwraca do naszej sprawy: „Doświadczeńszy odemnie dyplomata (M. *Bignon*) doskonale oddał położenie Polski i pozostaje mi mało do powiedzenia. Dziwnem byłoby, gdyby rząd króla, muszącego bronić istniejące traktaty, nie upomniał się energicznie o wypełnienie tego, co przypadkiem pochodzi z kongresu Wiedeńskiego, a co uświęca niezależność Królestwa polskiego, i protegujе tę narodowość, najwierniejszego naszego przyjaciela, który przelał tyle krwi za nas i którego istnienie tworzy zaporę przeciwko napływowi północnych barbarzyńców.“

Nie wiele wprawdzie z razu żądano dla Polski od Francji, tylko jednego wypełnienia Wiedeńskich traktatów. Ale i rząd nasz powstańczy nie wiele sam pragnął pod te czasy. Lecz posiedzenie sejmowe francuskie z 28 stycznia i mowa Lafayetta miały jeszcze inną doniosłość. Należało nadać co największy rozgłos komitetowi; trzeba było sprawą polską zająć Zachód tak, jak go zajęła uprzednio sprawa zniesienia handlu murzynami i jak go poruszyła sprawa grecka. Lafayette więc jako prezes komitetu w izbie z trybuny ku wiadomości całego świata, zawiadamia w przekonaniu, że oprócz wdania się rządu potrzebne silne poparcie całego narodu francuskiego dla wojujących nad Wisłą: „Powinienem podziękować jednemu z naszych zacnych towarzyszy (*Dupin* młodszy), że dał mi sposobność, którą trudno by mi było uzyskać, dla zawiadomienia z wysokości tej trybuny, że istnieje komitet polski przeznaczony ku dawaniu wszelkich dowodów współczucia dla naszych braci Polaków, ku posyłaniu im wszelkich pomocy od nas zależnych, i mam zaszczyt zawiadomić wszystkich moich towarzyszy izby, że ich datki będą przyjmowane przez nas z wielką przyjemnością i uznaniem.“ Mowa ta wywarła wielkie wrażenie i liczni posłowie przyjęli na się obowiązek zakładania komitetów prowincjonalnych. Tem się objaśnia to rychłe powstawanie filjalnych komitetów po wszystkich prowincjach. Wiadomość o tym kierunku opinji rozniesiona razem ze sprawozdaniem sesji sejmowej po za granice Francji przyspiesza i tam założenie podobnych komitetów pomocy Polakom.

To też 12 lutego komitet centralny drukował swój manifest do *Narodu Polskiego*, pełen zapału i wzniosłych wspomnień narodowych, w którym powstaje na czernienie nas przez wrogów naszych w obec obcych, przytacza mnóstwo imion sławnych z waleczności legjonistów naszych, marszałków Francji, jenerałów i t. d. wymienia Jadwigę i Czarnieckiego i wiele innych postaci historycznych naszych: „Polacy! po 60 latach rozgłośnych bitew, wy tryumfujecie, a śród wszystkich narodowości świata Francja przedewszystkiem powinna przyspieszyć wasz tryumf. Jakie współczucie, jaki związek istnieje zatem między Polską i Francją? Francja miała za wrogów wszystkich królów Europy; lecz nigdy Polacy nie walczyli przeciwko niej. Od pierwszych wieków waszej monarchji Francja wam była droga i zawszeście ją lubili....“ Wspomniawszy żeśmy już raz zbawili Zachód z Sobieskim i dziś powtórna walka choć z innym wrogiem a w tymże duchu, manifest kończy: „Nadchodzi dzień bitwy i gdy dwa narody znajdą się oko w oko z sobą i gdy głos krwawy powie sołdatom moskiewskim: oto Polacy, śmierć Polakom! być może, że pod uniformem pokrywającym ludzi z ludu i służalców, niewolnika serce wolnie odpowie świętem oburzeniem i jeżeli ten głos szlachetny pozwoli usłyszeć okrzyk przerażający: *Wolność, wolność!* z którejże strony będzie zwycięstwo?“

Odezwę tę podpisało już 67 osób, a do nowo przystępujących zaliczali się posłowie *Bignon, Las-Cases, Abattucci*, Jerzy *Lafayette, Marchal* i także literaci: *Justin, Marrast, De Valmy, paganel* i t. p.

Otóż przy tym manifescie załączona pierwsza lista składek, na której między innemi znajdujemy: szkoła politechniczna 359 fr., 4 bataljon okolic Paryża 500 fr. Gwardja narodowa w *Charleville* 1337 fr. 95 c., *Lafayette* dał 2000, *Villequier* 1000, *Montebello* i *Chauvelin* po 500 i t. d. Słowem kilkadziesiąt tysięcy uzbierano przez 2 tygodnie. Za parę dni druga lista ogłoszona i całość zbiorów wynosiła 120.000 fr., a do 7 kwietnia doszła do 260.000. Czwarta lista ogłasza już 320.000, piąta 420.000 w czerwcu i t. d.

Nie było żadnego zakątka Francji, gdzieby się nie odezwało sprzyjanie sprawie polskiej. Szkoły wojskowe i cywilne, posłowie i marszałkowie Francji również jako wyrobnicy po zakładach i pracowniach znosili swe datki. *Courriere français, Constitutionel, Avenir, Journal des Debats, National* i t. p., popierały ten zapał i podnieśli go. A Lafayette stał się jakby moralnym pośrednikiem dwóch narodów, był jakby przedstawicielem braterstwa ludów.

Pierwszego marca przychodzi do Paryża wieść o wzięciu Warszawy. A przysłał ją jenerał *Flahaut* pełnomocny poseł w Berlinie. Dybicz obiecał carowi złożyć Warszawę u stóp jego w miesiąc po detronizacji. Już z rana 26 lutego tak był pewnym wygranej, że posłał carowi raport o niewątpliwem zdobyciu miasta, a manowcami powieźli depeszę osobne kurjery do Berlina i do Wiednia, datowane w Warszawie mieście. Poseł francuski widząc urzędowe doniesienie, natychmiast posłał wierzytelną kopję do Paryża i na posiedzeniu sejmowem, mającemu poruszyć sprawę polską Lafayettowi minister Sebastjani pokazał depeszę. Oszustwa Moskwy nie były wówczas znane tak dokładnie. Nikt się nie spodziewał by głównodowodzący armją potężnego mocarstwa posyłał dworom zagranicznym wieści zdobywania miast nie zdobytych i t. p. Sam Lafayette uwierzył depeszy. A że on był głównym przedstawicielem czynności komitetu centralnego, że on często występował zbyt jawnie za sprawą naszą i głosił jej niespożytość; to też wielu mu niechętnych widziało teraz jakby tryumf nad nim. Był to dzień wtorkowy, a we wtorki Lafayette przyjmywał u siebie gości. Salony jego pełne były ciekawych, ale z nich tylko jeden Chodźko, przeczuciem polskiem kierowany, protestował wiadomości, chociaż mu jenerał jego mówił, że to dziecińmostwem i łudzeniem się Bóg wie czem jest niewiara, w tak pewną wiadomość.

Od wybuchu powstania Chodźce przysyłano drogą bankierską różne dzienniki wychodzące w Warszawie. Z nich się robiły wyciągi do gazet francuskich. Na ten raz dzienników nie było. Jednak nie długo trwało zmartwienie przyjaciół Polski; — za kilka dni nadeszła paka gazet (za którą poczcie zapłacono 80 franków) rzecz wyświeciła, bo pokazała oczywiście, że w zdobytej zbuntowanej Warszawie nie mogłyby się drukować rewolucyjne pisma 3 i 4 marca. Wypadek ten zachwiał wiarę nawet w urzędowych sferach do moskiewskich raportów i na tem całem kłamstwie skorzystał tylko Ludwik Filip. Król bowiem francuski nie był uznany urzędownie przez Moskwę. Jednakże nie chcąc drażnić Francji w chwili walki, Mikołaj zawiadomił, że w razie uśmierzenia powstania i on przyzna tytuł królewski. To też wskutek depeszy Dybicza nastąpiło urzędowe przyznanie tytułu i publiczne przyjęcie posła moskiewskiego Pozzo de Borgo. To też Ludwik Filip miał prawo śmiać się szczerze, gdy jego kamerdyner Jacomo *Stolcenberg* (Polak z Gdańska) w kilka dni po tem pokazał też same niezbite dowody, jakie otrzymał i udzielił mu Chodźko, że zdobycie Warszawy była to rzecz na ten czas urojona.

Po otrzymaniu tej wiadomości z Warszawy komitet centralny urządza ucztę na cześć Polski.

W sali *Vendange de Bourgogne* rozwieszono chorągwie z herbami Korony i Litwy. Ozdobiono ściany wizerunkami Kościuszki, Waszyngtona i Lafayetta na głównem miejscu, a nadto wizerunki Czartoryskiego, Ostrowskich Władysława i Tomasza, Pulaskiego, Kniaziewicza, Madalińskiego, Kilińskiego, Poniatowskiego, Dąbrowskiego i innych; Lafayette siedział w mundurze pierwszego grenadjera gwardji narodowej polskiej obok jła *Kniaziewicza* i senatora *Platera*, posłów Rządu Narodowego przy dworze królewskim w Paryżu. Zabrał on głos, a między innemi mówił:

„Panowie coście między nami obecni, wy możecie sądzić o współczuciu i uwielbieniu jakie ożywiają wszystkich Francuzów. Wszędzie w departamentach jako i w stolicy, w wioskach jako i miastach, rozprawiają o waszych cnotach, o waszej sławie, szanownym naczelniku waszego rządu i zacnym naczelnym wodzu wybranym za swe talenta na polach bitew nawet przez jenerałów starszych od niego. Nasi weterani są waszymi braćmi, oni są Polakami. Lecz nasza młodzież niemniej jest z entuzjazmem dla was.“

„Gwardja narodowa paryska była mocno wzruszona zaszczytnym adresem jej braci w Warszawie i to wam wypowiada obecnie jej wódz... to wam wyrazi jeden z głównych oficerów tej gwardji narodowej. Temi uczuciami dla Polski do najwyższego stopnia przejęte są nasze wojska linjowe, nasi młodzi żołnierze za jedno są z dawnymi i wszyscy żałują, że nie są w możności przelania za was ich krwi, podobnież jak wasza szlachetnie płynęła za Francję.“ Zapał francuskiego narodu ku Polakom walczącym, rzeczywiście nie był przesadzonym przez Lafayetta. Sądząc po inteligencji ówczesnej śmiało można było powiedzieć: „Francja cała podziwia i waszą ludność i waszych wojowników i te kobiety polskie, których piękność i słodycz obejścia od dawna weszły w przysłowie w Europie i które w tej okoliczności, dają dowody obowiązku patrjotycznego, godnego poważania i zachwytu całego świata.“ To też gdy wzniesiono toast „Za Polskę, jej sławę, jej niepodległość, jej wolność, armję waleczną i kobiety polskie!“ długo rozlegał się okrzyk niech żyje.

A odpowiedział nań Kniaziewicz w imieniu Rządu Narodowego. Aleks. *Dolaborde*, zabierając głos już zaczął: „Panowie komisarze pełnomocni narodu polskiego, nasi znakomici współtowarzysze i bracia nasi“ podobnie jak Lafayette od „panowie *przedstawiciele rządu polskiego*.“ — Słowem ta uczta była jakby uznaniem posłów narodu walczącego za niepodległość przez naród francuski, którego rząd nie chciał uznać praw do życia samodzielnego. Na tej uczcie jenerał *Fabvier* wzniosił „niemniej zdrowie tych co się biją za niepodległość ich kraju nawet bez pozwolenia“, a Kazimierz *Delavigne* wygłosił swój piękny wiersz *Warszawiankę*:

„Oto dziś dzień krwi i chwały i t. d.

Uroczystość ta zajmowała powszechność i jakby zgładziła przykre wrażenie depeszy kłamliwej o zdobyciu Warszawy. Wkrótce potem znowu wzmogły się składki, a sami weterani z domu inwalidów złożyli 2165 fr.

Wieść o założeniu komitetu rozeszła się i po całej Polsce, budząc najrozmaitsze uczucia. Jednym się wydało, że Francja już pójdzie walczyć za nas, innym że to obraza dla narodu zbieranina na jego korzyść. Jak oceniało stronnictwo walki te współczucia francuskie, objaśni wyjątek z *Nowej Polski*, z marca 1831, artykuł Jana Ludwika Żukowskiego, który przytaczam na końcu tego rozdziału. Już wówczas przepowiadano upadek króla nie przyjmującego strony Polaków i zwycięstwo rewolucji we Francji.

W nieprzychylnych nam Niemczech dzienniki napełniały się korespondencjami z Warszawy przeciwko komitetowi polskiemu w Paryżu. Z dzienników niemieckich przeszło to i do francuskich. Wtedy sejm polski napisał adres do Lafayetta i Walewski Aleksander, późniejszy minister i prezes senatu francuskiego, jadąc na posadę posła Polskiego w Londynie w przejeździe przez Paryż mu wręczył. Dla położenia zaś tamy fałszywym wieściom zamieścił w dziennikach francuskich następny list z 20 marca 1831 r. (*Jl. des Debats* 21 marca).

„Panie, liczne dzienniki niemieckie, chcąc sparaliżować poniekąd zabiegi komitetu polskiego i powstrzymać liczne zapisy robione w całej Francji na naszą sprawę i które są najlepszym dowodem prawdziwego zajęcia się, jakie wzbudziliśmy w ogóle narodu francuskiego, ogłaszają częste listy, które datują z Warszawy, a z nich się zdawałoby, że Polacy precz odrzucają pomoce pieniężne i życzenia, jedyny podatek jaki współczucie narodu francuskiego może im ofiarować. Zmuszony jestem odsłonić ten mały wybieg dzienników niemieckich, nie wiedzących jakiego sposobu użyć ku zaszkodzeniu naszej ślicznej sprawie, ponieważ tak nie jest; Polska jest i będzie zawsze wdzięczna tym, którzy głośno objawili się ich obrońcami i popieraczami niepodległości. Najlepsze świadectwo, jakie mogę dać tutaj, jest list, którego jestem oddawcą, adresowany przez Sejm Polski do jenerała Lafayetta, dziękujący mu za to, że stanął na czele komitetu polskiego i obja-

wiający go pierwszym przyjacielem Polski. Ufam panie, że zechcecie niniejszy list łaskawie zamieścić w waszym najbliższym Nrze; proszę przyjąć zawczasu moje podziękowanie w imieniu wszystkich Polaków, do których podobna niewdzięczność nigdy nie może być odniesioną. Al. Walewski."

(C. d. n.)

O NIEWIDZIALNYCH NIEPRZYJACIOŁACH
ISTOT ORGANICZNYCH

napisał

PROF. KAROL GUTKOWSKI.

(Ciąg dalszy).

U dzieci chorowitych a nieraz zupełnie zdrowych i krzepkich pojawia się dość często na błonie śluzowej jamy ust wykryty przez szwedzkiego lekarza Berga (w r. 1840) grzybek (Qidium albicans Rob.), który pod mikroskopem przedstawia się w postaci licznych, nierówno uczłonkowanych nitek grzybniowych. Jest on przyczyną choroby zwanej *pleśniawką*, która rozciągnąć się może i na błonę gardzieli, a według mniemania niektórych lekarzy— nawet na błonę śluzową żołądka. Niekiedy przenosi się zaraźliwy co dopiero wspomniany grzybek i na inne dzieci, za pośrednictwem łyżek i innych przedmiotów nim zakażonych.

Bardzo uporczywą chorobę nagabującą tak dzieci jako i dorosłych jest *„strupień woszczynowaty* (favus). Ulubioną jej siedzibą jest głowa włosami porosła. Najprzód powstają wśród swędzenia łuseczki cienkie, okrągłe, które się powiększają i tworzą strupy. Zewnętrzna ich powierzchnia, składa się z jednostajnej drobno ziarnistej masy, wewnętrzną pyłkowatą barwy żółtawej stanowi po większej części grzybek pasożytny (Achorion Schoenleimi Remak,), który sprawia nie tylko ropienie się skóry, lecz nadto niszczy także włosy. Zajęte strupniem włosy tracą barwę i połysk, są kruche i łamliwe, rozszczepiają się i łatwo odpadają.

Prócz wymienionego grzybka są jeszcze inne, które we włosach pasożytują. Wszystkim niemal znana jest choroba włosów zwana kołtunem. Przyczyną jej jest według mniemania dra. Günsberga, również pasożytny grzybek mikroskopijny *kołtuniowcem* zwany, (Trichophyton plicae polonicae Günsb). Obiera on sobie za siedzibę jużto korzeń, jużto przewód włosa. Cebulka włosowa nabrzmiewa, włos rozdziera się na drobne włókienka, które się za pomocą cieczy mazistej z sobą zlepiają i wiązki tworzą*).

Inny pasożytny grzybek pod nazwą *Trichophyton tonsurans Malmet* sprowadza pewien gatunek choroby (herpes tonsurans), skutkiem której włosy się łamią i odpadają.

Mikroskopijny grzybek *microsporon mentagrophytes* Rob. znajduje się niekiedy we włosach brody i wargi górnej. Uczłonkowane jego nitki grzybniowe powlekają jakby pochewką włosy, skóra przybiera barwę czerwonawą — zapala się, tworzą się na niej ropiące się strupy, wreszcie włosy wypadają. Choroba ta *liszajem podbródkowym* (mentagra) zwana, jest nader uporczywą i przewlekłą z powodu, że wspomniany grzybek pasożytny mnoży się szybko i zaraża resztę włosów.

*) Niektórzy patologowie nadają wspomnianemu grzybkowi podrzędne znaczenie, uważając go tylko jako stałego towarzysza tej choroby.

Niemniej uporczywą chorobę skóry wywołuje grzybek *microsporan furfur* Rob Pasożyt ten utworzony z długich i rozgałęzionych komórek i zarodników w gromadkę skupionych, osiedla się zwykle na naskorku ciała człowieka, skutkiem czego powstają na jego powierzchni żółte albo żółtawocise plamy od wielkości grochu do wielkości dwóch rozpostartych dłoni. Choroba ta znaną była pod nazwą *łupieżca pstrego* (Pityriosis versicolor) już dawniej, grzybek jednak, który ją sprawia, poznano dopiero w r. 1846.

Virchow i Meissner mieli kilkakrotnie sposobność przekonać się o dziwnem zwyrodnieniu paznogci. W zgrubiałych, ku górze nieco wypukłych, miękkich, kruchych i łatwo rozpadających się paznogciach znaleźli jużto pojedyncze, już to gałęziste włókienka grzybniowe i liczne owocniki wypełnione zarodnikami. Niemniej przypisują — na podstawie najnowszych badań — powstawanie tak zwanych *pierzchnic* (Hechten) pasożytnym grzybkom, wegetującym na powierzchni skóry.

Czy też i inne choroby skóry np. odra, nie zawdzięczają pochodzenia swego grzybkom mikroskopijnym, niedaleka przyszłość to wykaże. Albowiem i dziś nie brak uczonych mężów, którzy niemal wszystkie choroby zaraźliwe za pomocą tak zwanej teorji pasożytyzmu chcą tłumaczyć. Teorja ta zyskała więcej zwolenników od czasu, gdy z udoskonaleniem narzędzi mikroskopijnych wykryto bardzo drobne, drobniejsze jeszcze, niż dotąd wzmiankowane organizmy, które będąc jakby na pograniczu świata roślinnego i zwierzęcego według mniemania wielu badaczy zaliczone zostały do działu grzybów pod ogólną nazwą *bakterji* (Schizomycetes Näg.) Również zaczęto rzeczonej teorji więcej hołdować od chwili, gdy znakomite badania Pasteura i wielu innych uczonych wykryły w płynach ulegających fermentacji liczne mikroskopijne ustroje budowy bardzo prostej, które również zaliczono do grzybów. Według wspomnianego badacza fermentacja jest tylko objawem żywotności tych drobnych istot. Któżby mógłbył dawniej przypuścić że drożdże, których niemal codziennie używamy, są nagromadzeniem wielkiej liczby grzybków mikroskopijnych? Każdy z nich składa się z jednej komórki kształtu kulistego lub owalnego. Komórki te wypełnione pierwoszczową masą, mnożą się przez pączkowanie w ten sposób, że obydwa ich końce wydymają się w pęcherzyki, które się powiększają i dają początek nowej komórce. Jakkolwiek zdania o przyrodzie grzybków drożdżowych są jeszcze podzielone, zgadzają się uczeni co do niektórych, gatunków grzybków fermetacyjnych — uznając je jako samoistne organizmy. Niemniej przyczyniła się do rozwoju teorji pasożytyzmu i do rozpoznania z nią w ścisłym związku stojących chorób zaraźliwych jeszcze i ta okoliczność, że — jak to już wyżej nadmieniliśmy — niektóre epidemiczne choroby roślin i zwierząt wytłumaczone zostały na podstawie wykrytych w ich organizmie drobnych grzybków, tudzież i to, że pojawiają się one u ludzi w rozmaitych chorobach skóry. Chodziło teraz o skonstatowanie ich obecności także w organach wewnętrznych i we krwi tak u ludzi jako i zwierząt wyższej ustrojowości. Pierwszy krok w tym względzie uczynił ze skutkiem Davaine, któremu się udało nietylko wykryć bakterje we krwi zwierząt chorych na *wąglik* (Milzbrand), ale zarazem zapomocą zakażonej niemi krwi przenieść tę chorobę z jednego zwierzęcia na drugie.

W ten więc sposób tłumaczenie niektórych epidemicznych chorób za pomocą bakterji zyskało obszerniejszą podstawę. Nad niemi też choć pokrótce zastanowić się nam wypada. *Bakterje* są to najdrobniejsze rośliny, jakie dotychczas poznano, z jednej utworzone komórki. Czasem kilka komórek łączy się z sobą w postaci łańcuszka. Znane one były już Ehrenbergerowi, który je umieścił w dziale wymoczków. Późniejsze badania Cohna i Nägielego wyznaczyły im miejsce w świecie roślinnym. Pojawiają się jużto na powierzchni ciał stałych i ciekłych, których związki organiczne uledz mają pewnemu rozkładowi chemicznemu, jużto jako pasożyty w ciele zwierząt i ludzi.

Powszechne zajęcie w świecie uczonych obudziły bakterje od czasu, gdy rozpoznano szczegółowe zachowanie się ich w obec substratu, na którym się znajdują, gdy przekonano się, że wiele patologicznych procesów zawisło od ich obecności, i że one są jedyną przyczyną niektórych chorobliwych zboczeń.

Zastanówmy się obecnie nad głównymi warunkami życia i rozwoju pomienionych bakterji. Aby się bakterje prawidłowo rozwijać mogły, do tego potrzeba im niektórych soli siarkowych, fosforowych, potasowych i magnezyjowych. Lecz nie dość na tem. Bez węglika i azotu obejść się nie mogą, natomiast kwasoród nie stanowi istotnej składowej części ich żywności. Woda jest nietylko dla nich pokarmem, lecz zarazem środkiem do roztwarzania stałych części pokarmowych. Częstokroć i bez niej zachowują bakterje przez długi czas żywotność. Wprawdzie obumierają w jej braku częściowo, schną i wraz z pyłem porwane prądem wiatru zapełniają powietrze szukając dla siebie odpowiednich warunków dalszego rozwoju, wszelakoż dostawszy się znowu do niej — budzą się z letargicznego uśpienia do nowego życia.

Niemałej wagi i znaczenia dla rozwoju bakterji jest temperatura i walka o byt z innymi podobnymi sobie grzybkami. Niskie i wysokie stopnie ciepła działają na obniżenie się czynności żywotnych. W obec przytoczonych wyżej warunków, gdy te są dla bakterji przyjaźne, mnożą się szybko w nieskończonej liczbie i działają zgubnie na swego żywiciela. W ciele człowieka odejmują sokom części pożywne, ciałkom krwi kwasoród, rozkładają cukier i inne związki i wytwarzają rozmaite zgniłe produkta. Nie na wszystkie atoli części ciała, nie na wszystkie organa mogą rozciągnąć swą zgubną działalność. Zewnętrzna powierzchnia ciała jest wolna od ich szkodliwego wpływu. Tylko wewnętrzne narzędzia służące do wykonywania pewnych funkcji fizjologicznych są ulubionem mieszkaniem bakterji.

Czy bakterje same wywołują rozmaite zaraźliwe choroby, czy są tylko pośrednikami w przenoszeniu materji miazmatycznych, pytanie to nie zostało dotąd dokładnie rozstrzygnięte. Lubo zapatrywania co do przyrody materji zaraźliwej są jeszcze rozmaite, toć jednak pewna, że taż materja, znajduje się w powietrzu i nie jest ciałem gazowem, gdyż — jak wiadomo z fizyki — gazy usiłują jak największą zająć przestrzeń, a natenczas jako bardzo rozcieńczone i rozdrobnione nie wywierałyby skutecznego na ciało człowieka wpływu. Gdyby dalej materja miazmatyczna była w stanie gazowym, wtenczas wszystkie osoby zdrowe przebywające w pokoju zapełnionym miazmatycznymi wyziewami, uległyby

natychmiast słabości. Również chemiczne lub nieorganiczne substancje nie mogą wywołać zarazy. Pozostają zatem uorganizowane do szybkiego rozrodu zdolne twory, a mianowicie według badań Hallera, Nägielego i wielu innych są niemi tylko bakterje. Niemniej jest rzeczą bardzo do prawdy podobną, że bakterje są właściwą przyczyną chorób zaraźliwych, miazmatycznych. (Dok. nast.)

MAGJA I NAUKA.

(*Dokończenie*).

XIV.

Kamień filozoficzny.

Pod tą nazwą, począwszy od XIV. w. wyrabiano najrozmaitszego rodzaju proszki mające nietylko wszelkie metale, a w szczególności rtęć na złoto zamieniać, ale nadto wieczną młodość zapewniać. Alchemicy, którzy sobie tajemnicę otrzymywania go przypisywali, dowiedli jednakże własnym losem, jak dalece pozorną była ich umiejętność — żaden z nich tą drogą do majątku nie doszedł, a natomiast pewnem jest, że olbrzymie fortuny łatwowiernych panów Europy przefiltrowały się przez tygle alchemiczne, pozostawiając tylko podejrzany osad jakiegoś aliażu podobnego do złota lub jakiegoś narkotyku, który nerwy chwilowo ożywiał. Raymond Lullus, Mikołaj Flamel, Paracels i nasz Sędziwoj byli mistrzami tej zawodnej sztuki.

Nie jednego zdziwić może dość znaczna ilość świadectw, jakie o mniemanej przeróbce rtęci lub ołowiu na złoto posiadamy; ale łatwo je sobie usprawiedliwić przypomniawszy jak dalece nizką była znajomość chemji w zeszłych wiekach i jak łatwo było przez długie i kosztowne eksperymenta przerabiając najrozmaitsze substancje i doszedłszy do otrzymania czegoś podobnego do złota, albo nawet rzeczywistego złota, jeżeli ono już w płynach użytych zawartem było, oszukać innych, albo nawet samego siebie, jedynie w skutek niezdawania sobie jasnej sprawy z tego co się robiło.

Przykładem oszustwa umyślnego a zarazem objaśnieniem, jak mogły powstawać pozornie najoczywistsze dowody przemiany metali, może być następująca historja:

Cesarz Ferdynand III. podczas swego pobytu w Pradze w r. 1648, był świadkiem takiego doświadczenia. Trzy funty rtęci (merkurjuszu) zostały zamienione na złoto zapomocą odrobiny owego proszku przez niejakiego Richthausena alchemika. Dowód był tak oczywisty, że cesarz nagrodził go tytułem barona i znaczną sumą pieniężną. Co więcej, z metalu w ten sposób otrzymanego, na wieczną rzeczy pamiątkę kazał wybić medal z napisem:

„Boska metamorfoza, dokonana w Pradze 15. stycznia 1648 w obecności cesarza Ferdynanda III.“

Na drugiej zaś stronie był portret bohatera z głową w kształcie słońca promienistego.

Czy potrzeba lepszego dowodu? Ale słuchajmy końca. Filut, któremu to doświadczenie ogromny rozgłos zjednało, postanowił kuć żelazo póki gorące. Sprzedał więc swą tajemnicę cesarzowi, i wielu innym magnatom różne ilości filozoficznego kamienia w zamian za marny kruszec pozostawił. Sam zaś... znikł jak kamfora.

Wzięto się do doświadczeń, z których jednak okazało się, że cała sztuka była kuglarstwem. Magik dodał w okrytej postaci złoto a rtęć w znacznej części ulotnił przez parowanie. W każdym razie wydatek opłacił mu się. Wysłano za zbiegłym listy gończe, ale przepadł jak kamień w wodę.

Inni wprost przewłóczyli doświadczenia dla wyłudzenia pieniędzy, poczem, jak baron de Plumeroles ze dworu Karola IX., uciekali z pieniędzmi monarchy.

Wykryto także, że niektórzy z nich mieli wydrążone pałeczki do mieszania w tyglach, z których nieznacznie wysypywali złoto, mianowicie jego połączenia zmięszane z proszkiem węgla, albo też przyrządzali tygle o podwojnem dnie, które po przebiciu podczas mięszania okazywało prawdziwe złoto.

Byli jednakże i ludzie dobrej wiary między alchemikami. Ci wierzyli, że rozpuszczając metal w „wodzie królewskiej“ *niszczyli* go, a potem przez parowanie *stwarzali* go na nowo; nic więc dziwnego, że otrzymując złoto z jego połączeń, do niego samego niepodobnych, sądzili, że wytwarzają złoto sztucznie.

Już w zeszłym wieku ukazywały się też dzieła godne uwagi, w których te błędne mniemania prostowano. Tak np. autor niezmiernie zajmującego dzieła, które mam pod ręką: *Historie des Himmels* etc. Leipzig u. Breslau 1764, pisze między innemi o sławnym eksperymencie alchemistów, zamiany cynobru na srebro przez samo zetknięcie z prawdziwem srebrem:

„Sproszkowany *cynober* (siarka połączona z merkurjuszem) który wraz z ziarnami srebra wrzucają do tygla, przyciąga srebro i zatrzymuje je w swoich porach. To prawda. Jednakże ten przyrost istnieje tylko dla oka, przez pozorne powiększenie ilości metalu (tj. srebra). Merkurjusz stanowiący $^3/_4$ części cynobru, oddziela się w ogniu i paruje. Gdy zaś srebro roztopi się... przenika cynober na miejsce merkurjuszu. Jeżeli więc zachodzi tu jaka przemiana, to tylko przemiana miejsca. Korzyść też ztąd żadna. Owszem tracimy na darmo cynober i węgle.“

Tenże autor opowiada następującą historję, która jasne światło rzuca na ówczesne usiłowania uczonych:

„W bliskości, Paryża a więc u wrót nauki, powstała przed paru laty fabryka do przemiany żelaza na miedź, obiecująca wielkie korzyści założycielom, a zarazem budząca nadzieje, że z czasem miedź otrzymana da się jeszcze w złoto zamienić. Ponieważ miedź przez tę hutę produkowana jak mówiono, niewątpliwie przedtem była żelazem, wypadało jej więc dać nazwę któraby tę przemianę uprzytomniała. Nazwano ją więc *Trans-metalem*. Cały Paryż, którego to znakomite przeobrażenie zajmowało, wierzył iż widzi znikanie żelaza. Widziano rzeczywiście, że z roboty tej wychodziła miedź, chociaż do niej tylko serwaser i żelazną blachę używano. Lecz żelazo, które przez rozpuszczenie w wodzie witriolowej zniknęło, nie przestało ani na chwilę być tem czem było, tj. żelazem.“

„Jeżeli zaś nie widziano żeby tu brał ktoś miedź do roboty, to jednak ona była ukryta w błękitnym witrjolu (siarkanie miedziowym), gdy go do serwaseru wrzucano.“

Oczywiście więc przedsiębiorstwo musiało upaść a dyrektor jego uciekł przed długami.

Podobnie rzecz się miała z ogłoszeniem sumiennego badacza członka Akademji, p. Geoffroi, na początku zeszłego wieku. Ogłosił on, że stwierdził doświadczeniem możliwe przemiany *gliny* na *żelazo*. Ale inny uczony, także członek Akademji Lemeri wykazał, że owa glina była poprostu *rudą żelazną* i że przeróbka jej za pomocą oleju lnianego polegała tylko na wydzieleniu żelaza, Geoffroi uznał też swój błąd i publicznie go odwołał.

Z tego jednakże wnosić można, jak dalece łatwem było w owych czasach zgromadzenie pewnej liczby faktów pozornie popierających transmutację.

Tak więc przyjąć musimy, że żaden z zesztowiecznych chemików nie zdołał przemienić jednego pierwiastku w drugi. Czy dlatego, że to jest w ogóle niemożliwem, czy też tylko dlatego, że brak im było odpowiednich środków?

Rozsądniej będzie przyjąć to ostanie zdanie. Mamy bowiem w nauce bardzo wiele wskazówek dowodzących, że podobieństwa między pierwiastkami mogą być wynikiem rzeczywistego *pokrewieństwa*, tak jak to wykazała teorja Darwina dla ciał żywych.

Przypuszczenie to usprawiedliwione wobec stopniowych przejść, jakie w grupach różnych pierwiastków, np. między chlorem, bromem, jodem i flurem znajdujemy, zyskała nadto znaczne poparcie, gdy w r. 1815 Gay-Lussac odkrył *cyan* (CN), związek złożony wprawdzie z węgla i azotu ale zachowujący się zresztą zupełnie jak pierwiastek zbliżony do grupy chloru. Berzelius zaś odkrył znów inne tego rodzaju ciało, a mianowicie *amon*, złożony z azotu i wodoru, który jednak tworzy amalgamat czyli mięszaninę z metalemi, tak jakby sam był metalem. Łatwo więc mogła powstać w umysłach myśl, że i występujące w ten sposób metale także mogą być ciałami złożonemi, tylko że nie mamy jeszcze środków, ażeby ich skład wykazać. Na tej zasadzie osnuł swą teorją jedności materji angielski chemik, Prout, około r. 1820. Zauważył on, że ciężary atomowe różnych pierwiastków są wielokrotnemi najlżejszego z nich: wodoru, że więc mogły powstać przez zgęszczenie tego ostatniego.

Dalszy rozwój chemji sprowadził jednak przeciw tej teorji rożne zarzuty. Poprawki w oznaczeniu ciężarów atomowych upoważniły Dumasa w r. 1859, do twierdzenia że takiem ciałem pierwotnem nie mógł być wodor, lecz chyba jakiś inny nieznany dotąd pierwiastek cztery razy lżejszy od niego. Nie było to jeszcze naruszenie samej zasady, ale w r. 1860 wstrząsnął ją Stass nowemi poprawkami doświadczalnemi.

Takie jednak koleje są nieuniknione w historji każdej zasady, która ma zyskać prawdziwą wartość naukową. To też od czasu do czasu poczęła ona znowu na wierzch wypływać.

Graham zauważył i słusznie, że jeżeli przyjmujemy jednakowe działanie ciężkości na wszystkie ciała, to konsekwentnie przyjąć musimy i jedność materji. Sam jednak mniemał, że nigdy nie zdołamy zamienić jednych pierwiastków w drugie. Nieudane doświadczenia Despretea zdawało się zdanie to potwierdzać, gdy nagle w r. 1874 pierwsze sprawozdanie z prac Lockyer'a, znakomitego zwolennika jedności materji, zwróciło na tę kwestję uwagę badaczów. Lockyer opierając się na 100.000 spektroskopowych obserwacji różnych pierwiastków i światła gwiazd, twierdzi obecnie, że pierwiatki nam znane tworzą się *w miarę oziębiania się ciał niebieskich*; na tych więc słońcach, które znajdują się w stanie największego rozpalenia, jak np. na Syrjuszu, analiza wykazuje

tylko jeden pierwiastek, wodor z małą domieszką najlżejszych metali.

Możemy się więc pocieszyć, że jakkolwiek w naszych laboratorjach jeszcze nie utworzono jednego pierwiastku z drugiego, ale tego rodzaju pracownie naturalne zdają się istnieć na gwiazdach.

Czy prędko sprowadzimy je z gwiazd na ziemię? Niewiadomo. Nauka jednak daje nam prawo nadziei. *Juljan Ochorowicz.*

Ostatni kwiatek.

Powiędły moje lilje i róże!
Znikł wiosny uśmiech uroczy,
Pierzchły snów młodych anioły stróże,
Mgłą łzawą zaszły mi oczy —
Po za nią gaśnie słońce żywota
Na smutnem jesieni niebie...
Jakiż to jeszcze kwiatek-sierota
Na pustej wita mnie glebie?

Jaskrawą barwą oczu nie mami
Lecz rajską wonią bogaty!..
Jakże go witać? śmiechem, czy łzami?
Upiąć u czoła, czy szaty? —
Lecz kto na grobie Ojczyzny-matki
Kto płacze na ojca grobie —
O jakże temu, upinać kwiatki
Przy ciężkiej szat swych żałobie?

Czy zasuszony z pozorem życia
Przechować w książce pamiątek,
Której z strasznego złudzeń rozbicia
Stargany uniosłam szczątek? —
Nie! — on tak szczęścia blaskiem promienny,
A w księdze onej, niestety —
Nagromadziłam w walce codziennej
Same zawodów szkielety!

Czy mu pozwolić chwil jeszcze kilka
Cieszyć się słońcem i życiem?
Lecz już w naturze serce umilka,
Wichr z głuchem zbliża się wyciem,
Wkrótce tu przyjdą zimne zamiecie
Szaleć nad kwiatkiem sierotą,
I po szerokim bezdusznym świecie
Listkami jego pomiotą.

Nie! — on jaśniejszej godzien przyszłości,
...W oddali... we mgle dziejowej,
Widzę jak plotą dłonie miłości
Wieniec na czoło Królowej,
A każdy niesie jakąś ofiarę,
Bo wieniec długi niezmiernie.
Serca i duchy... pracę i wiarę
Perły, korale, i ciernie! —

Ja dotąd tylko na wieniec dla Niej
Rzucałam pieśni mych rosę —
Lecz dziś... skarb większy przyniosę w dani,
Kwiat mój ostatni przyniosę —
Ostatni uśmiech litości Bożej
Nad smutnem sercem sieroty —
Ostatni promień gasnącej zorzy
Nad puszczą — wiecznej tęsknoty.

O Polsko Matko! Polsko Królowo!
Przyjmij ofiarę tę małą —
A gdy korona będzie gotową —
Gdy skroń Twą otoczy chwałą,
Gdy staniesz w dawnym blasku i sile,
Od których wrogów wzrok ślepnie,
Mnie o tem wtenczas śpiącej w mogile
Niech chociaż wietrzyk poszepnie.

1879. *Marja B.*

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XVIII.

Wycieczka na wieś.

Ranek był prześliczny; słońce wesoły uśmiech przesyłało z nieba ziemi, a po nad świeżą zielenią od czasu do czasu powiewał łagodny wietrzyk, zapowiadający zbliżenie się wiosny. Powóz toczył się wolno, wygodnie, drogą.

Droga więc była jak najpomyślniejszą, mimo to jednak doktor Rocco nie był zadowolony, rzucał się wciąż na siedzeniu, poprawiał fartuch powozu, jakby mu coś było niedogodnem, a na pytania odmrukiwał kilka niezrozumiałych wyrazów, bo sam nie wiedział co mu jest istotnie. Brak mu było Gioachina i Romola, którzy zatrwożeni o los przyjaciela, wybrali się na godzinę pierwej, nie chcąc czekać na spiocha doktora.

Gabriella zapadła w zamyślenie.

— Cóż u licha waszemu koniowi, że rży bezustannie? — spytał doktor Rocco woźnicy.

— Rumak się śmieje — odpowiedział tenże wpół się zwracając ku siedzącym w powozie.

I doktor Rocco rad nie rad musiał się rozśmiać, jakkolwiek nie był wcale w usposobieniu do śmiechu.

Gabriella tymczasem powoli wyszła z swej zadumy i stała się rozmowną i pytała ciągle o nazwy to tej to owej miejscowości, a woźnica objaśniał ją we wszystkiem. Zwolna krajobraz stawał się coraz to piękniejszym, a pagórki choć opustoszałe, wydały jej się wspaniałemi w porównaniu z monotonną równiną, którą dopiero co pozostawili za sobą.

I nagle poczuła w głębi duszy nowe jakieś, nieznane dotąd sobie uskrzydlone wrażenie, po raz pierwszy zrywające się do lotu. Po raz pierwszy w życiu poczuła poezję nie myślenia zupełnie o niczem, równocześnie przecież powrócił dawny zwyczaj zastanawiania się i pomyślała: Poezja zależy na tem, że pozwalamy myślom i wrażeniom wnikać w stojące im otworem serce i zmysły, podczas gdy przeciwnie filozofja ulotną myśl, skryte wrażenie ściga bacznie, by się zapoznać dokładnie z jego istotą.

Potem nagle zwracając się do matki bez wszelkiego poprzedniego objaśniającego wstępu— zawołała:

— Filozofja jest pożyteczniejszą ale piękniejszą poezja.

Tranquillina skinęła w milczeniu potakująco głową, doktor zaś, którego jazda nudziła, bębnił niecierpliwie nogami pod fartuchem powozu i pomrukiwał cicho, tak, że inni zrozumieć nie mogli, jakąś starą żołnierską piosenkę, od trzydziestu lat w nim uspioną, a teraz nagle zbudzoną powiewem wiosennego wietrzyku.

Nikt nie myślał o biednym Federico, bo też powietrze było tak piękne, łąki jaśniały szmaragdem w promieniach słońca, niebo było przezroczo-błękitnem, a w dali kontury śniegiem okrytych Alp mieniły się różanym blaskiem niby sny urocze, niby świeże młodej dziewczyny lica.

Naraz na zakręcie drogi woźnica oznajmił, że za chwilę zobaczą jezioro Puziano; Gabriella wychyliła się z powozu i zobaczyła o kawałeczek przed niemi maleńki wózek, szybko toczący się po spadzistej drodze.

— Jak się to stało, żeśmy ten wózek pędzący jak wiatr dogonili nie spostrzegłszy go nawet poprzednio?

Woźnica, który zasługę tę najchętniej byłby przypisał swym koniom i sobie, milczał.

W kilka minut później byli już u stóp pochyłości a zarazem nad brzegiem jeziora.

— Jak to piękne! — zawołała Gabriella z podziwem.

Doktor Rocco zaś przyłożył rękę do oczu, by módz lepiej widzieć i rzekł nagle:

— Otóż oni!

— Kto?

— Romolo i Gioachino.

Byli to oni w samej rzeczy. Wózek jechał stępa drogą, obaj przyjaciele wysiedli i stali nad rowem przydróżnym.

Nagle odwrócił się Gioachino z gwałtownym okrzykiem: „Ah!“ I Romolo obejrzał się za nim, przez chwilę jednak nie mógł uwierzyć własnym oczom, i dobrze robił, był bowiem krótkowidzem a okularów nie mógł jakoś jak na złość znaleść; nakoniec przecież i on głośne zaintonował „Ah!“

Po chwili i nasi podróżni zatrzymali powóz i zeszli sami na drogę.

— Czy być może! I państwo tutaj.

— To kaprys Gabrielli — odpowiedział doktor.

— Kaprys! — westchnął Romolo melancholijnie — dałby Bóg by był czas jeszcze!

Gabriella nie mogła znieść najmniejszego nieporozumienia.

— Czyś pisał ojcze do inżyniera? — spytała doktora.

— Naturalnie, żem pisał.

Romolo pojął tę wskazówkę i smutnie spuścił w ziemię oczy.

— Zsiedliśmy tu aby pójść prostą drogą — rzekł Gioachino wskazując na ścieżkę pośród dwu szpalerów krzaków.

— I w ogóle spóźniliście się ogromnie: przecież wyjechaliście na godzinę przed nami z Medjolanu?

— Nasza podróż nie w jednym względzie była nieszczęśliwą — odpowiedział Gioachino.

— Naprzód nasza klacz zgubiła podkowę, potem straciła znów całkowicie ochotę do biegu i nakoniec raz biegła jak szalona, jakby czuła, że nie podąży dość wcześnie, to znów stawała jak wrosła w ziemię, jakby chciała powiedzieć. „Na nic się to nie przyda; już i tak po wszystkiem.“

W milczeniu puścili się w drogę. Na wszystkich ciążyła teraz myśl o Federicu z całym zastępem ponurych przeczuć. Gioachino i Romolo przyspieszonym krokiem wyprzedzili innych, teraz zatrzymali się nagle — widać było już willę.

Potem szli już razem, zawsze w milczeniu i z pochylonemi głowami.

Wiejska dziewczyna szła z przeciwnej strony przyspieszonym krokiem; gdy ją zobaczył Ro-

molo, pomyślał: Teraz już pewno stało się nieszczęście, dziewczyna biegnie na wieś po doktora.

Gdy jednak potem wieśniaczka z uprzejmem mijała ich powitaniem, zadowolenie, malujące się na wszystkich twarzach, mówiło aż nadto wyraźnie, że każdy myślał tak samo jak Romolo.

Nieco dalej znów napotkali wieśniaka, zajętego uprawianiem warzywa.

I każdy pomyślał, że ten wieśniak nie mógłby pracować tak spokojnie, gdyby tu zaszło takie nieszczęście.

Z powracającą ufnością i w serca wstąpiła myśl weselsza. Wszystko zdało się im pomyślną wróżbą; śmiały wróbel, który niby mistrz ceremonji naprzeciw nich wybiegł, pliszka, co wymknąwszy się z klatki, lotem strzały przebiegła nad ich głowami w powietrzu, wesołe niebo i słońcem rozświecony krajobraz.

Gdy potem na końcu ścieżki przez chwilę jeszcze stali niepewni i na szerokiej żwirówce, wiodącej do willi zobaczyli najspokojniej stojące trzy osoby, a w jednej z nich poznali po wzroście, postawie i ubraniu Federica, wtedy wydała im się rzecz ta tak konieczną, że doktor Rocco pospieszył ze zwykłem: „a co? czy nie mówiłem zawsze?“ — jakkolwiek dotąd nic nie mówił.

Romolo i Gioachino przecież chętnie przyznali mu słuszność.

— Tak, tak, to prawda; mówiłeś pan — zawsześ pan to mówił — z nas to para starych warjatów; ale dzięki Bogu, że tak się stało!

Skoro trzej idący doszli do willi, odwrócili się w tę stronę. Federico spostrzegł wtedy swych przyjaciół, pozostawił swych towarzyszy i przyspieszonym krokiem puścił się drogą dopóki nie doszedł do swych gości.

— To my, my rzeczywiście! — krzyczał doktor Rocco.

— My w własnej osobie! — potwierdzali Gioachino i Romolo.

— Co za cud! — wołał Federico i nim uścisnął swych przyjaciół, podał pani Tranquillinie rękę; i Gabriella na teraz nie zdołała uniknąć uściśnienia jego ręki.

Każdy chciał w twarzy Federica dopatrzeć jakiegoś smutku, on przecież był wesołym jak zawsze i unikał wszelkiej wzmianki o swem rozpacznem położeniu.

Potem przedstawił gościom obu swych towarzyszy, jednym z nich był rządca, drugim jakiś ktoś, który niezmiernie na wierzyciela wyglądał.

Gioachino przecież długo jeszcze nie mógł się zupełnie uspokoić, a gdy się z tem zwierzył Romolowi, odpowiedział mu tenże: I ja nie mogę.

Cóż mógł zresztą więcej uczynić Federico na uspokojenie stroskanych swych przyjaciół? Nie sposób było okazywać więcej krwi zimnej, nie sposób z większym wdziękiem prowadzić pani Tranquilliny i zwracać wciąż jej uwagę na piękności okolicy; a już zupełnie niemożliwem by było z subtelniejszą ironją ukazywać trzy olbrzymie jamy, w których rydle i łopaty daremnie szukały sławnego skarbu. Cóż mógł nad to więcej jeszcze uczynić?

— Nieco mniej! — byłby odpowiedział Gioachino, a Romolo dodałby z westchnieniem: — On przesadza!

— Patrzcie państwo — mówił bankrut — to jest najpierwszy dół i naturalnie najgłębszy... bo zanim zdołaliśmy się zdecydować go porzucić, czekaliśmy aż nam jezioro przyśle przestrogę i pracę dalszą powstrzyma.

Przy tych słowach wskazał na dół głęboki na dnie którego widać było kałużę mętnej wody.

— Ładny kawałek roboty! — rzekła Gabriella serjo; — Federico spojrzał na nią ze śmiechem, że i ona nie mogła się od śmiechu powstrzymać.

— Niestracona to bynajmniej praca — odpowiedział jej; zamierzam zrobić z tego rezerwoar, który mi posłuży do nawodnienia ogrodu.

— Hm! — rzekł doktor Rocco — wcale niezły pomysł!

Inni milczeli.

— A otóż drugi dół; jak państwo widzicie tu nam już prędzej zabrakło cierpliwości. A i to pokaźny kawałek roboty, nieprawdaż, panno Gabriello?

— Z pewnością! — odpowiedziała Gabriella i na ten raz uśmiechnęła się tylko lekko — czy i z tego zechcesz pan zrobić drugi rezerwoar?

— Nie inaczej i to do ogrodu warzywnego; trzecia moja kopalnia jest tam... proszę tędy, łaskawi państwo... otóż trzecia; skarb zakopany jest w jednym rogu domu, a na nieszczęście dom ma ich aż cztery.

— Dokumenty powinnyby się jaśniej wyrażać — zauważyła Gabriella. — Czyż dotąd nic nie znaleziono jeszcze?

— O, przepraszam, rozmaitości; naprzykład z jaki tuzin naczyń z terracoty, kilka tuzinów siekier z bronzu, różnorodne takież z kamienia, bardzo dużo fuzolarji i nieskończoną moc różnych innych skorup.

— Co to są fuzolarja? — spytała Tranquillina.

— Są to małe okrągłe i płaskie kamienie z dziurą w pośrodku; nasi przodkowie z kamiennej epoki używali ich może za ozdoby na szyję lub amulety, inaczej bowiem nie wiedziałbym doprawdy co by z niemi mogli robić.

— Nie znalezionoż rzeczy większej wartości? — spytała Gabriella.

— O! niezawodnie! Na przykład kilka igieł, kilka strzał i szpilek do włosów, wszystko z bronzu.

— Rzeczywiście?

— Rzeczywiście! — nie śmiejże się pani tylko; na wysepce ot tam znaleziono tylko bronzowe wędki. Skoro więc tamecznym mieszkańcom rybołóstwem się tylko trudniącym, wędki były nieodzownym sprzętem, z tego, com ja tu wykopał, wnosić należy, że pierwotni mieszkańcy mojej posiadłości posiadali wyższy stopień cywilizacji, niżeli mieszkańcy wyspy. Nie jestże to jasnem?

— Hm — tak — odpowiedziała Gabriella.

— Przyjmij pani moje ramię, pokażę jej to miejsce, gdzie w przyszłym tygodniu zacznę kopać, tymczasem zaś oświadczam...

Gabriella nie mogła odmówić, zbliżyła się z wahaniem do Federica i nieśmiało wsparła się na jego lewem ramieniu.

Gioachino doznawał w swej lekkomyślności nieprzepartej potrzeby zatarcia rąk, ale zauważył jak Romolo smutnie nań popatrzał i nie poczuł nawet małego piorunka spojrzenia, które mu doktor Rocco w samą twarz rzucił.

— Widzicie państwo — mówił Federico zwracając się do swych gości — wykopane u mnie przedmioty należą do epoki przejściowej między epoką kamienną a bronzową — to jest do czasu, w którym praojcowie nasi znaleźli wprawdzie bronz ale z powodu cenności jego wyrabiali zeń tylko najkonieczniejsze przedmioty, później zaś i ozdoby, zresztą zaś przez oszczędność używali kamiennych sprzętów... A ot jesteśmy na właściwem miejscu; tu jest skarb zakopany.

— Czyż tu jest rzeczywiście? — spytała Gabriella, wdzięcznie wysuwając rękę z pod ramienia swego towarzysza.

— Ponieważ ma być zakopany przy jednym z narożników domu, a przy trzech innych nic nie znaleziono...

Doktor Rocco dawno już nie miał tak dobrej sposobności wybuchnięcia dawnym swym gniewem; naprzód spojrzał litośnie w niebo, potem zawołał:

— Wiecznie taż sama historja, też same niebieskie zrządzenia! Ja naprzykład nigdy nie mogłem znaleść chustki w tej kieszeni, w której jej naprzód szukałem, bo z pewnością zawsze była w innej.

Śmiech ogólny.

— I jakże zaradziłeś pan temu? — spytał Gioachino na swe nieszczęście.

— Ja nie zaradziłem tylko pan zaradziłeś — odparł doktor Rocco gniewnie; — od czasu jak mi prawa ręka stała się niezdatną, nie potrzebuję już prawej kieszeni, choć krawiec...

— Czy i tu z czasem założysz pan rezerwoar? — spytała Gabriella przerywając ojcu i posłała mu błagalne spojrzenie.

— Albo nowy rezerwoar, albo też grób familijny dla mnie i dla moich potomków — odpowiedział Federico.

Leżało jak na dłoni, żeby mu powiedzieć, że nie ma przecież potomków i — jeśli pewne konieczne nie zajdą warunki, takowych prawdopodobnie mieć nie będzie.

Gabriella miała niekłamaną już ochotę spytać go: „to się pan żenisz!“ wczas przecież spostrzegła złowieszczą minę Romola, podeszła do niego i zapytała:

— Cóż panu znów?

— Nie zdaje się też i pani jakby jemu?...

Romolo uzupełnił swe słowa pewnem wielce wymownem poruszeniem ręki w okolicy czoła.

Gabriella odwróciła się i spojrzała na Federica, który znów ze swej strony nie spuszczał oka z nich dwojga i śmiał się serdecznie.

— Pójdź pani ze mną — rzekł do pani Tranquilliny; — pani jesteś pewnie ciekawą przynajmniej jedną z moich skorup zobaczyć, nie prawdaż? Nie mamże racji?

— Niezawodnie masz pan rację — odpowiedziała z zwykłą sobie uprzejmością zacna kobieta.

Zwrócili się ku domowi; za nimi poszła reszta.

ROZDZIAŁ XIX.

Przyjaciele.

Kto go tak widział z gorączkowo błyszczącemi oczyma, z temi nagłemi jakiemiś ruchy, z twarzą raz uśmiechnioną swobodnie, to znów pomarszczoną bruzdami namysłu, temu, jeśli zwłaszcza trwoga o niego do tego się dołączyła, łatwo było dojrzeć niezawodnych symptomatów jednego z niezliczonych gatunków chorób umysłowych, trapiących ludzkość od sześciu tysięcy lat.

Gioachino i Romolo idący jak cienie tuż za Tranquilliną i Federiciem z wielu poprzedzających wskazówek budowali fundament dla swych przypuszczeń.

Przez chwilę milczeli, potem jeden mruknął

parę słów ciemnych, które drugi aż nadto dobrze rozumiał.

Gdy weszli do maleńkiego muzeum Federica — rzekł Romolo:

— Jego skarb ukryty!

Gioachino pochylił ciężącą troską głowę na piersi; nagle wyprostował się i odpowiedział:

— Albożi te trzy sławne pocałunki!

— Ah! — westchnął jeden.

— Ah! — westchnął drugi.

Federico rozpoczął swe objaśnienia z pewnym zapałem; można było sądzić, że stare naczynia, igły, strzały i siekiery zachwycają go niepomiernie, zaklinał duchy naddziadów z kamiennej epoki, by się zechciały oddać zwykłym swym zatrudnieniom, tak jakby ich potomki nie byli tu obecnymi. Nie było najmniejszej obawy, by Gioachino i Romolo śmieli się z żartów, któremi przystrajał fantastyczny swój obraz ubiegłych epok — nawet Gabriella zachowywała się pozornie całkiem obojętnie.

„Najpiękniejsza w świecie dziewczyna" zbliżyła się była do młodego człowieka i ukradkiem patrzała mu w oczy.

— Pani masz na sercu jakieś pytanie — rzekł Federico, nagle się do niej zwracając — proszę, mów pani.

— Co to jest za sprzęt? — spytała Gabriella, byle się tylko wybawić z kłopotu.

— Jest to mała piłka z białego krzemienia z rękojeścia z rogu.

Podczas gdy Federico objaśniał jakiej zręczności i wytrwałości potrzebował mieszkaniec nawodzisk, by tak krzemień ukształtować, doktor Rocco przypomniał sobie o właściwym celu swej wycieczki i odtąd już o niczem innem nie mógł myśleć; wziął obu swych przyjaciół na bok i wielce zręcznie wyprawił ich za drzwi — wkrótce potem i pani Tranquillina zrobiła zwrot strategiczny. Tym sposobem Federico i Gabriella pozostali sami.

On nic z tego wszystkiego nie zauważył i dalej tłómaczył znaczenie swych wykopalisk; ona widziała wszystko i nie słuchała już tego co mówił; obmyślała, co ma powiedzieć człowiekowi, który może w zupełności już utracił nie wielki zasób posiadanego rozumu, i serce biło jej gwałtownie.

Naraz umilkł Federico i odwrócił się; zaledwie wszakże spostrzegł, że pozostał sam z Gabriellą, gdy po krótkiej chwilce wahania postąpił ku drzwiom.

— Widocznie znudziłem tych państwa — rzekł — inaczej nie byliby odeszli; prawdopodobnie rozpatrują się teraz w okolicy... proszę zechciej pani przejść także...

Dziewczę nie poruszyło się z miejsca.

W samej rzeczy było to dziwne. Ten tak ufny w siebie i bynajmniej nie trwożliwy człowiek zdał się wyraźnie lękać wszelkiego zbliżenia z Gabriellą; zatrzymał się na progu i widocznie rad był podążyć za swymi gośćmi, których zniknienie wprawiało go w niemały ambaras.

Gabriella siadła w wielkiem poręczowem krześle stojącem w pośrodku muzeum.

— Czy to są białe i czarne krzemienie? — spytała.

— O, są czerwone i żółte; w tej okolicy wszakże znachodzą się tylko białe i czerwone... Zdaje mi się, że ojciec oczekuje pani... pewnie go niepokoi pani nieobecność...

Gabriella nie odpowiedziała nic a gdy Federico zdecydował się wreszcie zbliżyć do niej, rzekła:

— Siadajże pan tutaj na tej ławeczce, muszę się z panem rozmówić.

Młody człowiek obejrzał się po za siebie jakby szukał jakiego wybiegu, a nie mogąc nic znaleść, usiadł wreszcie z wahaniem na jednej z najoddaleńszych ławek.

Gabriella udała, że to nieprzyjacielskie zachowanie się uszło całkiem jej uwagi i poczęła cokolwiek niepewnym głosem: (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(O wychowaniu moralnem, umysłowem i fizycznem przez Herberta Spencera, tłom. M. Siemiradzki.

Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad tem, że jednem z najważniejszych zadań społecznych jest wychowanie tak publiczne, jak domowe. Publiczne, zostające pod opieką państwa, pod ścisłą kontrolą społeczeństwa, korzysta w mniejszym lub większym stopniu z nabytków postępu i oświaty powszechnej i pozbywając się złych metod, przyswaja sobie coraz lepsze, bardziej zgadzające się z naturą młodzieńczego wieku i przeznaczeniem człowieka. Nie tak się dzieje z wychowaniem domowem. Traktowane, jako rzecz prywatna, do której ani państwo, ani społeczeństwo wtrącać się nie może, pozostawione dowolnemu upatrzeniu rodziców, którzy nie zawsze pojmują, jakie są ich pod tym względem obowiązki, a przynajmniej nie zawsze wiedzą, jak tym obowiązkom zadość uczynić — w wychowaniu swych dzieci trzymają się zwyczajów uświęconych praktyką, reguł częstokroć najsprzeczniejszych, a nieraz postępują sobie tak, jak im ich temperament, chwilowe usposobienie lub fantazja nakazują. Ponieważ wychowanie domowe głównie działa na moralną stronę dziecka, nie trudno więc zrozumieć, jakie za sobą następstwa pociąga wychowanie, w zasadzie którego albo leżą zwyczaje, niezgodne z naturą dziecka, przeciwne jego przyszłemu stanowisku w społeczeństwie, albo też w którem żadnej nie masz zasady, a jest prostem tylko chodzeniem po omacku. O tem każdy łatwo się może przekonać, kto zechce rozpatrzyć się w około, gdzie na stu ludzi zaledwie kilka znajdzie jednostek, które się odznaczają ustalonym charakterem: reszta zaś, są to reprezentanci rozmaitych temperamentów, działających nie podług tego, jak im zasady i przekonania nakazują, ale podług szybszego lub powolniejszego obiegu krwi w ich żyłach, podług tego, co się im na razie podoba, do czego skłania ich wrodzony popęd.

Ważną więc jest rzeczą, ażeby ojcowie i matki raz zechcieli zastanowić się głębiej, jak ciężką zaciągają odpowiedzialność wobec narodu za wychowanie dzieci, które wchodząc w społeczeństwo, okazują się niezdolnemi do wypełnienia swych obywatelskich obowiązków, jako jednostki bez zasad i żadnego charakteru; ażeby raz zechcieli się przekonać, że sama praktyka, zwyczajem uświęcona, tak tu, jak i wszędzie indziej, nie wystarcza, że musi ona być kierowana jakąś zasadą, o której tylko z teorji można dowiedzieć się. Doskonałą po temu nastręcza im sposobność p. Michał Siemiradzki, który w wybornem tłómaczeniu podaje dzieło znakomitego filozofa angielskiego: O wychowaniu.

Dzieło to, w sposób jak najprostszy, przystępny nawet dla najmniej wykształconych, wykłada zasady pedagogji na podstawie prawd, o jakich nam mówią psychologja i fizjologja. Energicznie zwalcza on zastarzałe poglądy na różne kwestje pedagogiczne, wykazuje zgubne następstwa zwykłych praktyk.

Dzieło to nie wielkie zawiera cztery rozdziały. W pierwszym wykazuje, jak szkodliwą, jak niedorzeczną jest zasada, podług której uczymy dzieci nie tego, co im potrzebnem być może w życiu, ale tego, co odpowiada modzie, wymaganiom światowym. Wskutek tego potępia stanowczo przewagę łaciny i greki w szkolnem nauczaniu, a jest za nauczaniem nauk przyrodniczych. W drugim rozdziale mówiąc o wychowaniu umysłowem — zaleca zaczynać naukę od rzeczy prostych i konkretnych i dopiero powoli przechodzić do pojęć bardziej złożonych i oderwanych. W rozdziale trzecim, poświęconym wychowaniu moralnemu, przestrzega, ażeby nie zapominano, że zadaniem wychowania jest wyrobić ludzi, którzyby się sami rządzić w życiu umieli, że społeczeństwu potrzeba nie istot biernych i wahających się, ale śmiałych i stanowczych. Rozdział ostatni, rozbierający kwestję wychowania fizycznego, występuje przeciwko nadmiernemu przeciążaniu umysłu dziecka nauką, przeciwko zaniedbywaniu hygienicznych warunków, których zadaniem zachować w zdrowiu ciało, od czego i zdrowie duszy zależy.

Ten pobieżny sumarjusz rozbieranych w dziełku Spencera kwestji, dostatecznie przekonywa, jak jest ono ważnem i jak pożytecznem może się dla nas okazać. Dodajmy na zakończenie, że dziełko to, z przyjemnością dające się czytać i z łatwością, jest wcale nie drogiem, co w dzisiejszych czasach powszechnej biedy znaczy nie mało.

Władysław Kozłowski.

KORESPONDENCJE

Genewa, 19. maja.

(Hrabina de Montretout Wiktora Tissot'a. Niemiecka lekkość obyczajów. Alfons Daudet o Edmundzie i Juljuszu Goncourt'ach. Frères Zemganus. Hromada, ukraińskie zbiorowe pismo. Szewczenko. Kilka słów o ostatniem powstaniu na Rusi. Obojętność nasza dla historji tych czasów. Zapiski Berga o powstaniu polskiem).

(Dokończenie).

Wyszła czwarta książka *Hromady*, wydanej po rusku przez p. Michała Dragomanowa w Genewie. Umiejętnie i pracowicie ułożona, czyta się z wielką ciekawością. Przytem ma dla nas jeszcze ten szczególny interes, że potrąca niektóre ważne zagadnienia dla naszej przyszłości. P. Dragomanow pozostaje jeszcze pod wpływem szkoły historycznej, nieprzyjaźnie i niesłusznie oceniającej naszą przeszłość, ale wrogiem naszej przyszłości wcale nie jest.

Obecna książka *Hromady* najwięcej zajmuje się Szewczenkiem. Z powodu umieszczonego w niej studjum przez S-a, p. Dragomanow, prócz małych uwag, dodanych do tego artykułu, napisał jeszcze obszerną i bardzo ciekawą rozprawę p. t. „Szewczenko, ukrainofili, i socjalizm."

Taras Szewczenko, urodziwszy się w poddaństwie, sam na własnej osobie doświadczył, czem jest niewola włościańska:

.....Tam niewola,
Robota ciężka, nigdy
I pomodlić się nie dadzą.
Tam matkę dobrą moją,
Jeszcze młodą do mogiły
Nędza i praca złożyły.
Tam tatko, płacząc o dzieciach,
(A myśmy małe i gołe były),
Nie zniósł lichej doli, —
Umarł na pańszczyźnie! A my
Porozłaziliśmy się pomiędzy ludzi
Jakby myszki. Ja do szkoły —
Nosić wodę uczniom,
Bracia na pańszczyznę chodzili,
Aż im łbów nie pogolili.
A siostry! siostry? Biada wam,
Moje gołębice młode!
Dla kogo wy na świecie żyjecie?
W najmie wyrosłyście obce,
W najmie warkocze pobieleją,
W najmie, siostry, i pomrzecie!

Taras został pokojowym kozaczkiem u swego pana, Engelhardta. Z nim razem jeździł do Petersburga, Wilna, Warszawy. W tem ostatniem mieście był właśnie podczas wybuchu powstania 1830 r. S-o w swojem studjum powiada: „Szewczenko, widząc, o co bili się Polacy, przypomniał i swoją Ukrainę... w ten sposób myśl jego w tym kierunku pracować poczęła.“ Ile przypominam sobie, to i inna jeszcze okoliczność z pobytu w Warszawie przyczyniła się do rozbudzenia patrjotyzmu ukraińskiego w Szewczence. Sam poeta zanotował ją w swoim „Dzienniku“, który przed kilkunasu laty był drukowany w *Osnowie*. Była nią miłość ku Warszawiance, której słowa pełne zapału rozniecały w nim pragnienie wolności i tęskną miłość ojczyzny. Szewczenko i później chętnie czytywał polskie książki, a Mickiewicz był jego ulubionym pisarzem.

Zdolności malarskie, które zauważano w młodym poecie, dopomogły do wydobycia go z poddaństwa. Zawdzięczając słynnemu malarzowi Brintowowi, sekretarzowi akademji sztuk pięknych Grygorowiczowi, poecie Zukowskiemu i hr. Wielhorskiemu, został wykupiony od Engelhardta. Przez kilka lat odbywał studja w akademji sztuk pięknych w Petersburgu i tam po pierwszy raz wystąpił jako poeta ludowy Rusi.

Po przyjeździe na Ukrainę w 1844 r. autor *Kobzarza* zastał tam dość silny ruch umysłowy pomiędzy rusińską inteligencją. Utworzyło się nawet Towarzystwo Cyrylego i Metodego, które pod wpływem czeskich słowianistów marzyło o federacji słowiańskiej. Lira Szewczenki zabrzmiała wówczas najgłośniejszemi tony niepodległości i swobody. „Wstawajtie — wołał — kajdani łomitje i wrażoju złoju krowju wolu okropitie!“ Rychło jednak ciężka ręka rządu przygniotła wszystko. Szewczenkę za znalezione u niego poezje: *San*, *Kaukaz*, *Cholodnij Jar*, *Posłanije do ziemlakiw* i niektóre inne, pisane pomiędzy 1844 i 1846 r., oddano w sołdaty i wysłano za morze Kaspijskie na wygnanie, gdzie się spotkał z Bronisławem Zaleskim, Gordonem, Jasieńczykiem i innymi naszymi rodakami. Wówczas to napisał wiersz *Lacham*, poświęcony Bronisławowi Zaleskiemu, w którym przypominając, jak niegdyś Polska i Ukraina żyły z sobą po bratersku, aż

Pryjszli ksiondzi i zapalili
Nasz tichij raj....

mówi dalej ze smutkiem:

Ot—tak—to, Lasze, druże-bratie!
Niesitii ksiondzi, magnati
Nas poriznili, rozwieli,
A mib i dosi tak żyli!....

i wreszcie kończy:

Podaj że ruku kozakowi,
I sierce szczyroje podaj,
I imieniem christowim znowu
Wozobnowim nasz tichij raj!...

„Tych słów — powiada przytem S-o — nie zaprze się i obecnie żaden ukraiński chłopoman, przyjaciel ludu, byle tylko związek ten z Polakami był związkiem wolnych narodów na gruncie socjalno-demokratycznym.“ Dalej zaś z powodu naszego ostatniego powstania mówi: „Ukraiński lud w 1863—1864 r. dobrze zrozumiał wartość społeczną polskiego powstania, pomagając rządowi łapać i bić swoich panów-Lachów, dla ludu ukraińskiego bowiem Lachy-powstańcy nie byli powstańcami, a przedewszystkiem *panami*, znaczy się wrogami, darmo że obiecywali ludowi w *złotych hramotoch* wolność i ziemię. Któżby na Ukrainie uwierzył panu!“ P. Dragomanow zaś dodał przytem następującą uwagę: „Nie było co i wierzyć *złotym hramotam*, albowiem obiecano w nich „ludowi ziemię (wolność dał już car w 1861 r.) a panom wykup za ziemię“ — „ze skarbu narodowego.“

Jest tu błąd faktyczny i fałszywe rozumowanie. Po pierwsze, powstanie nie panowie robili, nawet na Rusi. „Powstanie nauczyło nas tego — powiada autor broszury: *Ruś przed i po powstaniu zbrojnem 1863 r.* (Bendlikon, 1865) — o czem myśmy nie wiedzieli. Czuliśmy wprawdzie niemoc naszą liczebną, uczuliśmy potrzebę i wchodzili na drogę przejednania się z ludem, ale główną nadzieję naszą pokładaliśmy w szlachcie i z tego żywiołu myśleliśmy, że główną zaczerpniemy siłę. Tymczasem przeciwnie się stało, ledwie jeden szlachcic właściciel na dwudziestu walczących w szeregach ojczystych.... Szlachta na Ukrainie i Wołyniu, widząc, że usiłowania jej do powstrzymania zbrojnego ruchu są bezowocne, bojąc się powstania z jednej, a chłopów i rządu moskiewskiego z drugiej strony, stanęła na boku, nie przeszkadzała a nawet drobne ofiary pieniężne niosła. Część jej gorętsza, młodzież akademicka, wszystko co lepsze i serdeczniejsze, siadło na koń i poszło na wroga. Szlachta zaś podolska, szachrując z wydziałem galicyjskim, zdołała reakcji zapewnić przewagę i nie przystąpiła do ruchu.“ W szeregach powstańczych walczyli głównie rzemieślnicy i niżsi oficjaliści, t. j. ta klasa, która wszędzie w powstaniu 1863 r. okazywała najwięcej gotowości rewolucyjnej. Po drugie, *złote hramoty* obiecywały ludowi ruskiemu nie tylko ziemię, ale i równość prawną i językową. Po trzecie, takiej wolności, jaką car dał chłopom w 1861 r., niepodobna nazywać wolnością. Po czwarte, Ukraina nie potrzebowała panom wierzyć, ale rządowi narodowemu, gdyż on tylko moralnie odpowiadał za powstanie. Po piąte, obecnie wykup ziemi spłacają włościanie; rząd zaś narodowy miał spłacić właścicieli ziemskich ze *skarbu narodowego* (nie zaś ludowego), t. j. ze skarbu, do którego płaciliby zarówno szlachta i mieszczanie jak i włościanie. Przytem rewolucja nie zawsze zatrzymuje się na tem, co zakreśla sobie z początku: rok 1789 zaprowadził aż do roku 1793. Ale najważniejszem — podług mego przekonania — jest to, że Ukraina, powstając całą masą swej ludności, okazałaby była pośrednio niezawodnie wielką usługę narodowi polskiemu, lecz przedewszystkiem stałaby się sama panią swego losu. Pomagając zaś carowi, podtrzymywała dalsze panowanie despotyzmu. Gdyby Polacy wyparli byli carat ze swoich granic, to czyż podobna byłoby przypuścić, iżby zechcieli rozpoczynać walkę ze zrewolucjonizowanym ukraińskim ludem, chcąc mu narzucić panowanie małej garstki szlachciców. Przypuszczenie nawet takie jest niedorzeczne. Kiedy 18 marca 1848 r. wybuchła rewolucja w Berlinie, Polacy poznańscy poszli za przykładem Niemców i 20 marca ustanowili w Poznaniu swój własny narodowy komitet. Niemcy poznańscy musieli uznać ten komitet, chociaż stosunkowo silniejsi byli, aniżeli szlachcice na Rusi. I kogóż to ludność wiejska na Rusi łapała i w niektórych miejscach mordowała? Właśnie nie tych, co byli dla niej najgorsi, ale tych, co dla niej żywili najlepsze uczucia, co woleli jak w Sołowjówce zostać zamordowanymi, aniżeli mordować tych, w których interesie — mniejsza o to: czy mylnie, czy słusznie — mniemali, że walczą. Już to wiejska włościańska ludność, która najwięcej zyskała na powstaniu, prawie wszędzie okazywała się dla niego z początku nieżyczliwą. W Kongresówce włościanie, dopiero kiedy spostrzegli, że szlachta ziemska trzyma się zdaleka od powstania, zaczęli mu otwarciej i szczerzej sprzyjać. W wielu miejscach zaczęli wówczas mówić: W 1830 r. było powstanie panów, teraz miast i miasteczek, a cóż to będzie, kiedy my powstaniemy?

Historją powstania ostatniego Rosjanie więcej się zajmują, aniżeli my, których to przecież najwięcej obchodzić powinno. Obojętność nasza w tym względzie tak wielka, że kiedy w zeszłym roku. W *Ostatnich latach dziejów powszechnych* (Lwów, 1878. Nakładem Księgarni Polskiej) pojawiło się po pierwszy raz cokolwiek obszerniejsze zreasumowanie wypadków ostatniego powstania, nikt nie uważał za potrzebne porobić nad niem jakiekolwiek uwagi lub wskazać znajdujące się tam usterki. Należałoby jednak to czynić, dopóki żyją naoczni świadkowie i uczestnicy ostatniego powstania. I dla tego zwracam ich uwagę na nową w tym przedmiocie pracę. Tegoroczna *Russkaja Staryna* w dwóch zeszytach za luty i marzec ogłosiła opowiadanie Mikołaja Berga p. t. *Polskoje Wozstanije w 1863—1864 gg.* Rzecz napisana bez nienawiści, a nawet z pewną dla nas sympatją. Jest tam wiele szczegółów, oczywiście jednostronnie opowiedzianych, bo opartych przeważnie na doniesieniach rządowych. Weźmy chociażby tylko liczbę zabitych i rannych. Pod Małagoszczą — powiada Berg — powstańców zabito 300, raniono 500; Rosjan wcale nie zabito, raniono zaś sześciu. Pod Piaskową Skałą powstańców miało zginąć 400; Rosjan zaś zabito 3-ch a raniono 8. Berg robi przytem uwagę, że z tego doniesienia nawet powszechnie żartowano, ale niesłusznie — podług jego przekonania — ponieważ Polacy nie umieli strzelać ze sztućców i zwykle górowali a z tego powodu prawie żadnej szkody nie wyrządzali Rosjanom. Risum teneatis, amici!

B. L.

Kronika tygodniowa.

Jeneralne spacery po wszystkich miejscach gdzie można swobodniej odetchnąć — zastępują teraz wszelkie inne rozrywki. Szczególniej wieczorami ulice aż roją się strojnemi paniami i pa-

nami, ławki na Wałach są w oblężeniu, a Zarząd ogrodów pomnaża ich liczbę. Taką jest zewnętrzna fizjognomja Lwowa; krętanina, gwar, śmiechy i żarty — gdy znowu poważna część płci brzydkiej debatuje tylko o wyborach stawiając różne propozycje na kandydatów, ich zastępców i zastępców tych ostatnich, o ileby podwójnie lub potrójnie wybrani zostali. Do takich agitacji jawnych i skrytych Lwowianie mają wiele sprytu i wprawy — ztąd mnóstwo krąży pogłosek i debatów, więcej jeszcze domysłów na chybił trafił, a wszystkie razem wziąwszy mogą ostatecznie pozawodzić i zrobić nam niespodziankę.

Gdyby tak ktoś z filantropów chciał ucywilizować ludzkość, przynajmniej co do zewnętrznych form grzeczności towarzyskiej, to powinien propagować zaprowadzenie nieustannego sezonu wyborów. Jak wtedy ludzie robią się czuli i przyjacielscy, jak ściskają ręce, jak całują, obiecują i każą liczyć na siebie jakby na Zawiszę. Nawet ci zapamiętali Niemcy, którzy szyderstwem przyjmowali zawsze żądania nasze, — teraz zjeżdżają tu gromadami prosząc o wybór na deputatów z Galicji. Szczęśliwy to kraj dla nich: wyexploatowawszy go ze wszystkich zasobów materjalnych, wycisnąwszy ztąd ostatnią jak to się mówi koszulę naszą, — przychodzą teraz z otwartemi rękami i wytartem czołem wyexploatować jeszcze rozumy i uczucia nasze. Nie zaprzeczamy że to bardzo dogodnem być musi piąć się do karjery po cudzych karkach, ale dlaczegoż koniecznie po naszych? Przyznam się, że odwaga tych panów przechodzi już wszelkie granice, i staje się prawdziwym policzkiem dla kraju naszego. Ci panowie bowiem mają nas widocznie za tak ograniczonych, tak dalece politycznie nieudolnych, że sam pomysł ich udawania się tu po mandaty, jest już dla nas najwyższą obrazą. Pomyślmy tylko co by powiedziała miejscowa ludność niemiecka w Wiedniu, lub gdziebądź indziej, żeby naprzykład taki pan C. lub pan P. albo X. postawili tam swoją kandydaturę. A przyznam się, że wielka jeszcze różnica jest pod każdym względem którejbądź z osób tu naprzykład proponowanych — od tych ktorzy śmią ofiarować nam swoje usługi. U nas przynajmniej nie znajdziemy takiego kandydata, któryby otwarcie stawał razem z wrogami naszymi, a między tymi obcymi panami są właśnie tacy i śmią.....

Ksiądz arcybiskup Sembratowicz wydał okólnik do Rusinów, okólnik w tonie manifestu do wiernych mu ludów, w którym o istnieniu jakich bądź Polaków w Galicji, ani wzmianki nie ma. I to już jest wielka łaska, że raczył przypomnieć sobie o Ojcu Swiętym i wspomniał coś o wyborze takich posłów, którzyby tak otwarcie przeciw papieżowi nie występowali. Zdaje się jednak, że prócz księży unickich w Galicji, są jeszcze i inni zacni ludzie, którzy będąc przywiązani do swej wiary i narodowości, pragną żyć w zgodzie i harmonji z pobratymcami swoimi, a którzy śmiemy tu przypomnieć Jego Eminencji nazywali się zawsze i nazywają dotąd Polakami. Wypadało i na nich coś rachować, bo dalibóg mogą dokuczyć i figla wypłatać nawet autorom manifestu... A propo tego autorstwa, to przyznajemy, że nie tęgich ma stylistów Jego Eminencja, przynajmniej powinni byli cokolwiek lepiej przypatrzeć się stosunkom miejscowym i panującym prądom, nim się wzięli do napisania owej świętojurskiej gramoty...

Proces Towarzystwa Kredytowego Miejskiego idzie dalej i spowszedniał zupełnie wobec spraw wyborczych, dzienniki tylko są zadowolone, że mają czem parę szpalt zapełniać. — Zapowiadają, że rozprawa przeciągnie się jeszcze kilka tygodni, jeżeli do tego czasu nie wymrze połową sędziów przysięgłych ze znużenia i upałów.

Mieliśmy także nadzwyczaj zajmujące posiedzenie Towarzystwa Gospodarskiego oddziału lwowskiego, które tem się różniło od posiedzeń innych stowarzyszeń, że nie mogło zakończyć odczytania protokołu z poprzedniego posiedzenia. Ci co tam byli, zapewniają, że cały porządek obrad i przygotowanie przedmiotów do rozprawy nie pozostawiały nic do życzenia — co dowodzi niezwykłej żywotności Towarzystwa Gospodarczego i działalności prezydjum.

Dzieci kapitana Granta rozpoczęły w teatrze wędrówki i przygody swoje przy dość małej liczbie ciekawych, wszyscy oczekują wybudowania letniego teatru w ogrodzie miejskim, do czego już dzisiejszy dyrektor otrzymał od Rady miejskiej stosowne pozwolenie, a tymczasem powiadają, że do starego chodzić nie warto.

Zapewne czytelnicy nasi słyszeli coś o zapisie hr. Kickiego zmarłego przed niedawnym czasem w Warszawie, który dość znaczny majątek swoj zapisał na rzecz tak zwanych Osad Rolnych dla małoletnich przestępców, które to osady ze składek publicznych zostały tam utworzone. Otóż między innemi hr. Kicki posiadając w Galicji dobra ziemskie Rzyczki objął je także tym legatem, a w testamencie postawił warunek aby w dobrach tych zarządzanych przez komitet warszawski, mogła być utworzona taka sama Osada a raczej filia, dla miejscowych małoletnich przestępców. Ponieważ instytucja taka niewątpliwie policzoną być może do najpożyteczniejszych, przez umoralnienie i powrót społeczeństwu już na złą drogę wkraczających przestępców, nie wątpimy przeto, że Wydział krajowy, do którego jak się zdaje, zarząd dobrami Rzyczki będzie należał, podniesie tę dobroczynną myśl testatora, i da początek tyle pożądanym osadom rolnym, które w Krolestwie kongresowem jak najlepsze dają już rezultaty.

Bank krajowy hipoteczny jak się zdaje ma już byt zapewniony. Uchwała Sejmu względem zaciągnięcia półmiljonowej pożyczki została sankcjonowana — statut dla przyszłego Banku również jest opracowany — od Sejmu zatem zależeć będzie wprowadzenie go w życie, co spodziewamy się wielkiej subjekcji ani trudności tej poważnej Instytucji krajowej nie zrobi.

Gospodyni nasze narzekają powszechnie na przeniesienie targu z Rynku na plac Strzelecki, czyli na zamięszanie wszelkich stosunków między sprzedającymi a kupującymi. Na placu tym zapanował prawdziwy chaos: nie można nikogo znaleźć, kobiety wiejskie tułają się ze swymi produktami po różnych kątach, służące szukając ich tracą głowy, co sprawia dość kłopotliwe zamięszanie. Miasto Lwów jest już tyle znacznem mastem, że mógłby magistrat targi te rozdzielić między kilka innych placów, szczególniej co do sprzedaży nabiału. Dotąd wszystko się koncentrowało w Rynku, a na placu Bernadyńskim jest tylko sprzedaż jarzyn, mięsa i bułek. Taki podział ułatwiłby nabywającym kupno tego wszystkiego co kucharkom do codziennych potrzeb jest niezbędnem, gdy przeciwnie dziś muszą one peregrynować od miejsca do miejsca, i marnować czas potrójnie już dzisiaj dla gospodyń drogi. Również narzekają wszyscy na kompletne zmonopolizowanie handlu produktami takimi przez licznie reprezentowaną i dobrze zorganizowaną klikę przekupniów, którzy nim targ się rozpocznie już wszystko mają w swoich rękach i nakładają dowolne ceny. Zdaje się, że istnieje przepis zabraniający handlarzom kupowanie tych rzeczy przed pewną oznaczoną godziną, więc życzyć by tylko należało, aby zakaz ten przez służbę targową był ściśle przestrzegany.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Ateneum w zeszycie za m. czerwiec zawiera: 1. listy Czeskie, przez Prawdę. II. Najznakomitsi komedjopisarze hiszpańscy, studjum literackie, przez Juljana, Adolfa Swięcickiego. III. Przed Grunwaldem, przez Dra. Antoniego Prohaskę. IV. Kasia i Marynka, z papierów pozostałych po Gabryelli. V. Obyczaje ekonomiczne we Francji, przez Dra. K. Waliszewskiego. VI. Z zagranicy, literatura niemiecka, literatura francuska. VII. Rozbiory i sprawozdania: 1) Jagiellonki polskie w XVI wieku, przez Teodora Wierzbowskiego, 2) Stanisław Wawrzyniec Staszyc jako założyciel towarzystwa rolniczego Hrubieszowskiego przez Justyna Wojewódzkiego. VIII. kronika miesięczna.

*** Biblioteka Warszawska w zeszycie za miesiąc czerwiec zawiera: I. Stosunek Władysława Jagiełły do Husytow czeskich przez Juljana Sutowicza. II. Cnota i występek. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie, przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. III. Antoni Oleszczyński przez Severynę z Żochowskich Duchińską. IV. Obrazy z zamierzchłych dziejów przez Zygmunta Glogera. V. Syn Margrafa, tragedja z Xwieku, przez Bronisława Grabowskiego. VI. Kircholm, pieśni historyczne z 1605 r. przez K. Wł. Wojcickiego. VII. Muzeum Kopernika w Rzymie. VIII. Z podróży i przechadzek po południowo-zachodniej Norwegii, z luźnych notatek spisał Stanisław Bełza. IX. Kronika poznańska X. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. 1). Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. t. I przez K. Wł. W. 2) Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń Wydziału filologicznego Akademii umiejętności Tom VI. przez F. Jezierskiego. 3) Jan Herburt, kasztelan Sanocki, Rys bijograficzny przez R. 4) Don Juan Bayrona, pieśń druga, trzecia i czwarta (opowiadanie o Haidzie) przekład Wiktora z Baworowa, przez F. Jezierskiego. XI. Wiadomości bieżące, literackie, i artystyczne. XII. Nekrologja. XIII. Sprostowanie.

*** Pomnikowe Wydawnictwo Encyklopedji Rolniczej, pod redakcją księcia Tadeusza Lubomirskiego, Edmunda Stawiskiego i Stan. Przystańskiego, w tych dniach ukończonem zostanie. Prenumerować można tę publikację we wszystkich księgarniach.

*** Gazeta przemysłowo rzemieślnicza, przez lat siedm wydawana przez p. Aleksandra Makowieckiego w Warszawie przestała wychodzić dla braku prenumeratorów. Odznaczało się to pismo doborem treści jak i opracowaniem; poświęcenie redaktora uległo pod niskim poziomem w massach oddających się rzemiosłom u nas oraz indeferentyzmem właścicieli zakładów na postępy klas pracujących.

*** Niezmordowany pomimo sędziwego wieku artysta badacz, Napoleon Orda, w zbieraniu pamiątek przeszłości i w zbogacaniu swego cennego albumu, rok zeszły poświęcił na przerysowywaniu miejscowości pamiętnych w historji w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich. Obecnie przybył do Lwowa celem uzupełnienia swego zbioru podobnemi widokami Galicji, której część wschodnią, posiada już przerysowaną w swej tece.

*** W tych dniach opuścił prasę pierwszy zeszyt wydawnictwa B. M. Wolffa w Petersburgu pod tytułem: „Rosja w obrazach“ (Żywopisnaja Rossia).

Dzieło to zdobią przepyszne drzeworyty, odtwarzające widoki natury, miejscowości, ubiorów, charakterystycznych typów i zabytków historji.

Początek dzieła obejmuje strefę północną.

Tekst znanych pisarzy objaśnia rysunki.

Program dzieła, zamieszczony na okładce, zapowiada dział osobny Królestwu Polskiemu poświęcony.

Wydawnictwo to prowadzonem jest na wzór znakomitych dzieł rysunkowych o Włoszech, Szwajcarji, Egipcie, w których dzielność ołówka walczy o pierwszeństwo z dzielnością pióra redaktorów.

*** Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa ukazała się niewielka książka Jordana pod tytułem „Ze wspomnień marymonckich".

Wspomnienia te, mimo rzeczywistości tak pełnę uroku i takim nieudanym okraszone humorem, czytane będą zapewne chciwie przez uczniów, zwłaszcza dziś już nielicznych, szkoły rolniczej marymonckiej.

*** W tych dniach wyszły 13-ty zeszyt wydawnictwa p. Łoskiego p. t. „Ryciny polskich i obcych rytowników XVII i XVIII wieku," zawiera portrety króla Stanisława Augusta, Michała, Jerzego Mniszcha marszałka w. kor., ministra Henryka Brühla, Władysława Łubieńskiego prymasa, Jana Lipskiego kardynała, i Henryka Zernecke, historyka Prus.

Prześliczne portrety króla Stanisława i Mniszcha, wykonane według Lampiego sposobem *aqua forte*, przekonywają, że i ten rodzaj rycin daje się wybornie reprodukować za pomocą fototypu.

Wszystkie wspomniane ryciny wykonywane podług oryginałów znajdujących się w bogatym zbiorze księcia Włodzimierza Czetwertyńskiego w Milanowie, odznaczają się artystyczną wartością.

Do tego zeszytu dołączone zostały życiorysy Jana Sobieskiego i całej jego rodziny, Stanisława Leszczyńskiego, jego żony i córki, wreszcie Fryderyka Brühla, jenerała artylerji koronnej.

*** Nr. 19 Lecha zawiera trzy nieznane artykuły Zygmunta Krasińskiego.

*** Cornhill Magazine, pismo londyńskie, zamieszcza „The Polische Alps" (Polskie Alpy), opisujący Tatry nasze.

*** Dwutygodnika Naukowego Nr. 9 zawiera: Teorja wpływów kultury fenickiej. Odpowiedź w przedmiocie mennicznym i Słowo wstępne do Listów Zbarażskiego przez Z. S. Radzimińskiego.

*** W Statistiche Monatschrift znajduje się ciekawe streszczenie pracy D-ra J. Kleczyńskiego, urzędnika statystycznego biura lwowskiego o stosunkach gminnych w Galicji.

*** Wydawnictwu p. Sulimierskiego „Słownik geograficzny polski" ma przyjść w pomoc Akademia Krakowska, ku czemu wydelegowano stosowny komitet.

*** Dziełko dla ludu „Pogadanki o rzeczach pożytecznych" wyszło w drugiem wydaniu.

*** Niedługo opuści prasę podręczna książeczka „Słownik techniczny wyrazów używanych w mechanice", p. Ignacego Kempińskiego.

*** Wyszedł w Lublinie w języku rosyjskim „Pamiętnik gub. Lubelskiej" z ciekawemi danemi statystycznemi.

*** Towarzystwo naukowe polskie w Paryżu za konkursową pracę o kościele unickim na Rusi i Litwie przyznało nagrodę 1,800 fr. ks. Likowskiemu z Poznania.

*** Tow. Lekarskie Lwowskie liczy 91 członków i odbyło 21 posiedzeń naukowych.

*** Na posiedzeniu wydz. hist. Tow. N. Poznańskiego czytano: „Ślady historycznych wypadków polskich w dwóch dramatach Szekspira: Zimowa powieść i „Burza".

*** Na posiedzeniu komisji językowej Ak. N. w Krak. odczytano list p. St. Dangla, chemika w Dieuze, w Lotaryngii, proponujący opracowanie słownika naukowego, lecz Akademia zajmie się tem dopiero po opracowaniu słownika staropolskiego.

*** Licytacja bibljoteki Firmin Didot'a w Paryżu przyniosła ogólną sumę 904,161 franków.

*** W Paryżu ukazał się nowy tygodnik *Avant-Garde démocratique*, organ republikański i antiklerykalny, jak wyrażono w tytule.

*** Na czasową wystawę obrazów i rzeźb w Warszawie przybyło kilka arcydzieł, nigdy publicznie tutaj niewystawianych, a mianowicie:

Ary Scheffer'a — „Francesca di Rimini".

Tegoż — „Chrystus błogosławiący dzieci".

Tegoż — „Portret ś. p. hr. Zygmunta Krasińskiego".

Horacego Vernet'a — „Bitwa pod Samosierą".

Pierwsze dwa płótna są własnością p. hr. Ludwika Krasińskiego, drugie p. ordynatowej hr. Róży Krasińskiej.

Jest to jedyna sposobność podziwiania tych arcydzieł!

Nadto przybyła bardzo wdzięczna i udatna akwarella Franciszka Kostrzewskiego, będąca do nabycia.

Dzieła zaś ofiarowane na rzecz rodziny po ś. p. Fr. Tegazzo pomnożone zostały następującemi darami nadesłanemi z Krakowa: Juljusza Kossaka — „Polowanie z chartami" podług „Pana Tadeusza"; J. Malczewskiego - szkic „głowa wieśniaczki"; Pruszkowskiego Witolda — szkic „Głowa mężczyzny".

*** W salonie paryskim, na wystawie dzieł sztuki znajduje się w tym roku wiele obrazów artystów polskich. Pomiędzy temi, jak pisze korespondent do *Gaz. Warsz.*, pierwsze miejsce zajmuje Siemiradzkiego „Taniec mieczów". W dziele tem mamy anatomię, widzimy prześliczny krajobraz, starożytną architekturę i ubiory, naturę żywą i martwą, ujętą w harmonijną całość. Po Siemiradzkim następuje Aleksander Cetner, którego obraz „Tybul i Lesbia" nieco przypomina kolorytem samego Siemiradzkiego.

Chełmoński zachwyca Francuzów scenami z Ukrainy. Na dwóch obrazach jego głównymi przedmiotami są konie. Opowiadają, iż Emil Zola unosił się nad wdziękami klaczy z zadartym ogonem... Piątkowski także lubi Ukrainę. Jeden obraz przedstawia karę cudzołożnicy ukraińskiej z XVIII. wieku, a drugi jest portretem obywatelki Tallien, żony pamiętnego republikanina. Stanisław Chlebowski, jak zawsze, zakochany w rzeczach Wschodu. W tym roku nadesłał udatny obrazek z Czerkiesem, który sprzedaje nagą niewolnicę baszom tureckim w Konstantynopolu. Bakałowicz wystąpił z dwoma udatnemi portretami. Walery Brochocki dał krajobraz pod nazwą „Poranek". Lepsze są krajobrazy Ciesielskiego i Gąsowskiego. Panna Anna Hłaskówna, w Filadelfii urodzona, nadesłała portret. Adrjan Karłowski, urodzony w Paryżu, wystawił śliwki soczysto namalowane i widok wyspy Billancourt na Sekwanie. Wojciech Kossak, syn Juliusza, nadesłał obraz przedstawiający manewry wojskowe w Galicji. Gustaw Krabański, podobnie jak Bakałowicz, dał dwa portrety. Juliusz Łosik z Krakowa także się popisał z portretami. Łucjan Przepiórski z Wilna, nadesłał „Zdobycie Tunisu przez Karola V.". Jan Rosen z Warszawy dał obraz przedstawiający polowanie. Pantaleon Szyndler, Warszawiak, w tym roku po uszy zakochany we Włoszech i w tłustym pucułowatym Włochu. Jeden jego obraz zowie się „Pensierosa", a drugi „Zampogniero, Pifferaro". Stary Kazimierz Zier, rodem z Warszawy, a stale zamieszkały w Paryżu, wystawił dwa obrazy: „Ucieczkę z Egiptu" i „Rosę poranną". Syn Ziera, Edward, urodzony i wychowany w Paryżu, nadesłał udatny utwór: „Pelagia, Kurtyzana Antiocha".

W dziale rysunków występuje dziesięciu naszych artystów. Prócz wymienionych wyżej Ciesielskiego i Szyndlera, spotykamy: Pannę Amplewską, „Madame de la Vallière, miniatura. Panny Brycką i Płużańską: rysunki na papierze i na fajansie. Pannę Stryjeńską, „Magdalena" podług Hennera na emalji. Po pannach idą panowie: Stanisław Górski z Warszawy: „Franciszek Lotaryński" rysunek na drzewie. Henryk Krasno: „Zmrok", akwarela. Jan Mioduszewski: „Ksiądz Jełowicki". Bolesław Sokołowski, trzy akwarele: wiosna z zimą i widok bulwaru Clichy.

Pomiędzy rzeźbiarzami figurują: Marek Antokolski: „Głowa św. Jana chrzciciela", „Mefistofeles". Dwie panny Dąbrowskie z Wilna: biust, suka z bronzu i szczenięta z gipsu. Godebski, Gujski i Hegel wystawili popiersia marmurowe.

*** Wystawiono w Warszawie wizerunek Chrystusa, Gabryela Maksa.

*** Zamożniejsi izraelici warszawscy, zakupiwszy od p. Lessera, artysty, „Kopernika na łożu śmierci", zamierzają go ofiarować do Muzeum Kopernika w Rzymie.

*** Znany artysta p. Walery Brochocki, zamieszkały stale w Paryżu, bawi obecnie czasowo w Warszawie.

Wiadomo, że obrazy p. Brochockiego, które od czasu do czasu pojawiają się na wystawie tutejszej, znajdują u znawców i miłośników bardzo przychylne przyjęcie.

*** Nie obojętną zapewne będzie wiadomość, iż czasową wystawę obrazów i rzeźb na rzecz rodziny po ś. p. Tegazie urządzoną zwiedziło dotąd w dnie świąteczne 3,850, w dnie zaś powszednie 2.092 osób.

Na wystawę tę pczybyły właśnie dwa znakomite a nieznane w Warszawie obrazy M. Zichy'ego.

Pierwszy przedstawia „Scenę z inkwizycji w Hiszpanji", drugi znany w „Salonie" pod nazwą „La courtisane".

Przytem nadmieniamy, że obraz L. Horowitza „Synagoga w dzień zburzenia Jerozolimy" pozostaje nadal na wystawie, a do Monachjum wysłanym tylko został tegoż artysty portret pani J.

*** Antoni Ziemięcki, artysta malarz, wykończył obraz historyczny z dziejów walki Zamojskiego z arcyksięciem Maksymilianem.

*** W dniu 14 b. m. w Pradze, w nowym teatrze za Żytnią bramą na rzecz stowarzyszenia akademickiego wystawioną będzie tragedja Juliusza Słowackiego „Mazepa". Przekładu dokonał p. F. L. Howorka. Rolę wojewody grać ma najznakomitszy czeski artysta Kolar, wojewodziny pani Sklenarzowa Mala. Młodzież uniwersytecka weźmie udział w polonezie aktu pierwszego.

*** Na posiedzeniu komitetu warszawskiego Towarzystwa muzycznego, odbytem w dniu 31 maja r. b., obranymi zostali przez aklamację: prezesem, p. Sobański Feliks; vice-prezesem p. Kronenberg Władysław.

*** Muzeum paryskiego konserwatorjum otrzymało w darze od rajaha Sodrindro Mohun Tagore zupełną kolekcję instrumentów muzycznych starożytnych i nowożytnych używanych w Indjach.

*** W Lublinie przez lato dawać będzie widowiska trupa pp. Kremskiego i Wojciechowskiego.

Cztero-aktowa komedja „Sprzymierzeńcy", Br. Grabowskiego, rozdaną została do nauki artystom teatru warszawskiego.

Szkoły.

*** Program kursu melioracyjnego dla wykształcenia niższego personalu technicznego.

Cel kursu.

§. 1. Celem wykształcenia niższego personalu technicznego, potrzebnego przy robotach melioracyjnych oraz do obsługi melioracyj już wykończonych, urządza się kurs melioracyjny w Dublanach.

Sposób nauczania.

§. 2. Cel powyższy ma być osiągnięty:

a) przez praktyczne ćwiczenia w wykonywaniu robót melioracyjnych;

b) przez wykład nauk ogólnie kształcących, tudzież przez objaśnienie teoretyczne wykonywanych prac melioracyjnych.

Trwanie nauk.

§. 3. Kurs trwa 1 do 2 lat w miarę tego, czy uczeń ma się wykształcić tylko na robotnika melioracyjnego, czy też na dozorcę (podmajstrzego).

Język wykładowy.

§. 4. Nauka odbywa się w języku polskim.

Plan nauki.

§. 5. Nauka teoretyczna udziela się w systematycznym szeregu wykładów głównie w zimie i obejmuje w pierwszym roku następujące przedmioty:

1. Religię;
2. Naukę języka polskiego;
3. Zarys najpotrzebniejszych wiadomości z geografji i topografji;
4. Rachunki;
5. Rysunki;
6. Najpotrzebniejsze wiadomości z nauk przyrodniczych i z ogólnej nauki rolnictwa;
7. Zarys teorji nawodniania i osuszania.

§. 6. W drugim roku, przeznaczonym na wykształcenie dozorców (podmajstrzych), rozszerza się wykład przedmiotów wyszczególnionych w §. 5., a obok tego nauka teoretyczna obejmuje jeszcze:

1. Planimetrję;
2. Rysowanie planów;
3. Najpotrzebniejsze wiadomości z budownictwa wodnego.

§. 7. Latem uczniowie przedewszystkiem zatrudnieni będą przy robotach melioracyjnych.

Środki naukowe i nauczyciele.

§. 8. Kurs melioracyjny korzysta ze środków naukowych krajowej niższej szkoły rolniczej w Dublanach.

Do wykładów powołani będą instruktorowie fachowi w liczbie zastosowanej do potrzeby, oraz nauczyciel pomocniczy dla nauk ogólnie kształcących. Instruktorowie kierują zarazem ćwiczeniami praktycznemi.

Warunki przyjęcia.

§. 9. Każdy chcący się zapisać na kurs melioracyjny wykazać winien:
a) że 16. rok życia ukończył (metryka);
b) że ukończył 4-to klasową szkołę ludową; nadto zaś przedłożyć:
c) świadectwo moralności;
d) świadectwo zdrowia potwierdzone przez lekarza krajowych szkół rolniczych w Dublanach;
e) po odebraniu zapewnienia przyjęcia pisemne zobowiązanie, wystawione przez rodziców, opiekunów lub protektorów, zaręczające regularną wypłatę należytości przypadających od ucznia funduszowi kursu melioracyjnego.

O przyjęciu kandydata, który nie dopełnił warunku ad *b*) rozstrzyga Dyrektor krajowych szkół rolniczych w Dublanach, na podstawie egzaminu wstępnego.

Opłata.

§. 10. Nauka jest bezpłatna.

Uczniowie mieszkają i są utrzymywani na wzór uczniów krajowej niższej szkoły rolniczej w Dublanach.

Wysokość opłaty za mieszkanie i utrzymanie oznacza Wydział krajowy. Wpływy z opłaty tej, która powinna być składana do kasy Dyrekcji krajowych szkół rolniczych w Dublanach półrocznie z góry, należą do funduszu kursu melioracyjnego.

Egzamina i świadectwa.

§. 11. Przy końcu każdego roku kursu składają uczniowie egzamin i to przedewszystkiem z praktyki.

Po ukończeniu każdego roku otrzymuje uczeń świadectwo, w którem obok zachowania się i pilności oznaczają się postępy ucznia w naukach i wykonywaniu prac ręcznych oraz stopień kwalifikacji.

Zarząd i nadzór.

§. 12. Zarząd i nadzór pełnią też same władze i w takim samym stosunku, co w krajowej niższej szkole rolniczej w Dublanach. Wydane zaś regulamina dla uczniów pomienionej szkoły obowiązują zarazem uczniów kursu melioracyjnego.

Podając powyższy program dodajemy, że:

1. Kurs meljoracyjny rozpocznie się z d. 1 września r. b.;

2. Opłata za mieszkanie, utrzymanie i ubranie ustanowioną została na 180 złr. od każdego ucznia.

3. Pewna liczba uczniów pomieszczoną i utrzymaną będzie kosztem funduszu wyznaczonego przez Sejm krajowy.

4. Zgłoszenia wystosować należy do „Dyrekcji krajowych szkół rolniczych w Dublanach“ najdalej do dnia 15 sierpnia r. b.

Wiadomości społeczne.

⁂ Zabytki trojańskie. W najnowszym liście (z dnia 21 maja) do redakcji dziennika *Nürnb. Corr.*, dr. Schliemann podaje następujące szczegóły o rezultacie ostatnich swych poszukiwań na gruncie starożytnej Troi.

W obecności profesora Virchowa i dyrektora Burhoufa wykopano dwa skarby, składające się ze złotych przedmiotów.

Pierwszy znajdował się pod gruzami domu trojańskiego i zawierał: 3 złote dyski w kształcie kwiatów $8^1/_4$ centymetrowej średnicy, dziwnych form ubranie na głowę 45 cm. długie, którego górna część wygląda jak koszyczek obwieszony wielkiem mnóstwem małych pierścionków, wypełnionych masą białą, która jak się zdaje miała dawniej barwę niebieską; z koszyczka zwiesza się dziesięć złotych łańcuszków, z których każdy składa się ze 150 ogniwek listkami ozdobionych.

Na każdym z łańcuszków zawieszone jest jakieś bożyszcze.

Przez nieostrożność kopiących całe to ubranie głowy zmięszane zostało na taczkach z ziemią, przeznaczoną do wywiezienia i tylko przypadkowo spostrzegł je później w żwirze prof. Virchow.

Drugi skarb znaleziono w głębokości 33 stóp pod ziemią, na wielkim murze trojańskim na północno zachód od bramy.

Pomiędzy składającemi go przedmiotami najwięcej zasługuje na uwagę srebrna czasza, której używano zapewne przy składaniu ofiar płynnych.

Dalej znaleziono tutaj mnóstwo większych i mniejszych kolczyków, pomiędzy któremi dwa z długiemi wisiorkami, mnóstwo stopionych w bryłę srebrnych kolczyków i setki również stopionych pierścieni srebrnych, do których pouczepiały się w ogniu rozmaite pomniejsze przedmioty złote; w końcu 10 ornamentów w złocie wyrabianych z czterma drutowemi wężykami ze złota, mnóstwo pereł złotych itd.

W innem miejscu znaleziono, oprócz kilku innych pięknych rzeczy drobniejszych, srebrny sztylet, którego rękojeść zakończona jest łbem krowim z długiemi rogami.

Dr. Schliemann jest zdania, że zadanie jego w Troi jest już skończone i nie mając nadziei dokopać się jeszcze czegokolwiek, opuszcza już ruiny przedwiekowego miasta.

⁂ W dniu 24. b. m. obchodzoną będzie w Wersalu rocznica urodzin Hoche'a; municypalność urządzi różne widowiska publiczne.

⁂ Patti udaje się na występy do Australji.

⁂ Znana śpiewaczka Bianca Donadio została zaangażowana przez Vaucorbeila do Wielkiej Opery paryskiej.

⁂ W Bolonji 8. czerwca odbyło się pierwsze urzędowe publiczne posiedzenie akademji Adama Mickiewicza.

⁂ W Berlinie rozeszła się pogłoska o śmierci jenerała Garibaldiego; wieść okazała się fałszywą, jakkolwiek prawdą jest, iż jenerał ciężko jest chory.

⁂ W Berlinie w sierpniu r. z. niejaki Keding, założył się, iż do dnia 19. maja r. b. zbierze dwa miljony marek, nie płacąc za nie nikomu. Keding zebrał w terminie 3,588.000 marek, z których pewną część uszkodzonych lub zamazanych wydzielono, a mimo to zostało jeszcze 2,824,000 sztuk. Marki te ważą ogółem 3 cetnary i 95 funtów.

⁂ W tych dniach piorun uderzył w kościół w Lipniku (na Szlązku), budowany w XVI wieku i spalił go do szczętu.

⁂ W Cervia podczas widowiska w cyrku zabity został znany powszechnie „człowiek bomba,“ wskutek eksplozji swej broni; odniósł też ciężką ranę jeden z widzów odpadkiem armaty.

⁂ W Londynie odbyły się wyścigi welocypedowe. W wyścigach brało udział czterech Anglików i sławny welocypedysta francuski Terrout. Zapaśnicy mieli przebiedz 50 mil angielskich. Przybywający najpierw do mety miał otrzymać 50, następny 25 funtów szterlingów. Po danym sygnale ruszyli welocypedyści, lecz już po przebieżeniu sześciu mil stopniowo ustępować zaczęli, tak, iż do mety dobiegł sam tylko Terrout. Przebiegł on cały tor w trzech godzinach, 8 minutach i 35 sekundach, a zatem na godzinę przypada 27 kilometrów.

⁂ Obecnie w Hamburgu wprowadzone jest szczepienie ospy cielęcej, a nie krowiej, jako bezpieczniejsze.

⁂ Na posiedzeniu kółka rolniczego w Gliwicach na Szlązku przemawiał redaktor Postępu rolniczego, p. Przeniczyński: o stosunkach gospodarskich i o siewie; w Gliwicach odbędzie się wystawa rolnicza — i bydła rogatego.

⁂ Biuro statystyczne „Veritas“ ogłasza dane, dotyczące katastrof morskich w ciągu miesiąca kwietnia. Zatonęło żaglowców: angielskich 38, niemieckich 12, francuskich 11, holenderskich 11, amerykańskich 7, norwezkich 6, włoskich 4, szwedzkich 4, austrjackich 3, duńskich 2, 1 chilijski, 1 grecki, 1 portugalski, 1 rosyjski, niewiadomych pawilonów 2, razem 104. Parowców zginęło: angielskich 3, 1 austrjacki, 1 francuski, 1 norwezki — razem 6.

⁂ W Hamburgu od 21. do 24. sierpnia odbywać się będą posiedzenia kongresu niemieckich mydlarzy; równocześnie ma być urządzona wystawa wyrobów mydlanych, partumeryjnych, stearynowych, maszyn, przyrządów i tp. mających w mydlarstwie zastosowanie.

⁂ Dziennik *Année maritime pro 1879* podaje: Francja ma 120 statków czynnych, z których 13 pancerników; 82 statków rezerwy, z których 29 pancerników. Anglja 202 statków czynnych, między temi 21 pancerników; 151 statków rezerwowych, w tem 26 pancerników. Niemcy mają w ogóle statków 88, a między niemi 16 pancerników. Moskwa 260 statków, między temi 29 pancerników. Austrja 61 statków, z których 13 pancerników. Włochy 66 statków, 15 pancerników. Turcja 103 statki, 22 pancerniki. Hiszpania 137 statków, 8 pancerników. Grecja 15 statków. 2 pancerniki. Dania 33 statki, 6 pancerników. Hollandja 102 statków, 19 pancerników. Portugalja 30 statków, 1 pancernik. Szwecja i Norwegja 69 statków, 18 pancerników. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej 143 statki, 21 pancerników. Chili 13 statków, 2 pancerniki. Rzeczpospolita Argentyńska 21 statków, 2 pancerniki. Na wodach więc całego świata jest 1761 statków wojennych, między któremi 282 pancernych.

AMERYKAŃSKA... KSIĘŻNICZKA.

W samych tych już wyrazach: „amerykańska księżniczka“ leży sprzeczność, a mimoto i prawda.

Ofiarą jednej i drugiej, a raczej ofiarą swej nieugięcie pojętej godności, była świeżo zmarła w 95 roku swego życia, pani Elżbieta Patterson-Bonaparte.

Umarła 4 kwietnia bieżącego roku.

U łoża jej stali jej wnukowie, pułkownik Hieronim Napoleon i Karol Józef Bonaparte.

„Pani Bonaparte zostawia majątek w sumie półtora miljona dolarów“, tak brzmiał telegram wysłany w tym dniu z Baltimore na cały świat stary i nowy.

Cofnijmy się wstecz o lat 67.

Europa i Ameryka były istotnie naówczas dwoma całkiem odmiennemi a Oceanem przedzielonemi światami. Nie było jeszcze wtedy parowców na usługi despotycznie rządzących panów. Nawet Napoleon, wtedy jeszcze pierwszy konsul, ale już Cezar we wszystkiem o czem pomyślał, musiał się ograniczyć skutkiem tego w swych samowładnych wyrokach.

Albowiem gdy w r. 1803 stanęła mu w drodze 18-letnia dziewica amerykańska i to właśnie w takiej sprawie, gdzie wola jego ujawniała się nielitościwie, to jest w familijnej, musiał rozpocząć formalną dyplomatyczną wojnę, a nawet zamknąć porty swojego kraju.

Dziewczyną tą była Elżbieta Patterson z Baltimore w stanie Maryland, a ceną walki pomiędzy nią a najpotężniejszym władcą świata, Hieronim Bonaparte, najmłodszy brat konsula a od 24 grudnia 1803 mąż Elżbiety.

Mąż prawdziwy i prawny! Arcybiskup John Caroll zaślubił oboje wobec śmietany towarzyskiej świata i wobec francuskiego konsula. Punkta intercyzy cywilnej spisał J. Dallas, późniejszy minister finansów Ameryki. Trudno o większą legalność.

Jakim sposobem dostał się Hieronim do Ameryki? Był wtedy młodziutkim, o rok zaledwo starszym od swej marylandzkiej róży, a miał najpiękniejszą twarz z pomiędzy wszystkich twarzy posągowych, któremi Letycja Bonaparte obdarzyła swoich synów. Zakochał się szalenie i wtedy tuszył sę zerze, że zdobył szczęście na wieki. Jako porucznik francuskiej marynarki, otrzymał od pierwszego konsula okręt w tym celu, iżby zdala od rozrywek Paryża pożeglował czas jakiś po zachodnio-indyjskich wodach i twarz swoją różową opalił na tropikalnem słońcu.

Ale angielskie statki puściły się za nim w pogoń i zanim dotarł do Indyj, zmuszony był przed wrogami swego brata szukać schronienia w jednym z portów Stanów Zjednoczonych.

Pierwszem staraniem jego, gdy się tu raz dostał, było wydobyć się ztąd jak najrychlej. Drugiem, czas i ...

najlepiej przepędzić. W tym celu przyjął zaproszenie do Baltimore, które mu uczynił kapitan Barnay, który poprzednio z nim służył w francuskiej marynarce. Podróż ta z Nowego Yorku, gdyż tam zrazu wylądował, odbyła się rzeczywiście — a w owym czasie była to jeszcze prawdziwa podróż — piękne zaś panie z Baltimore, umiejące mówić po francusku, miały sposobność porozumieć się tym językiem z eleganckim synem pięknej Francji.

Baltimore dziś jeszcze słynie z najpiękniejszych kobiet. Naówczas również, samo już nazwisko Bonapartego wywoływało nie mały ruch w świecie pięknych kobiet i highlifu towarzyskiego miasta. Zaledwie przybył, wszystkie drzwi wszystkich salonów stały dla niego otworem, a między innemi i salon p. Willama Patterson, który, przybywszy jako biedak z Irlandji, był już teraz jednym z pierwszorzędnych kupców.

Hieronim miał lat 19, Elżbieta 18 — czyż mało treści do sielanki? a przytem oboje jak gdyby dla siebie stworzeni.

Są portrety obojga z owych czasów; z nich sądzić można o takiej ich piękności, że zbrodnią byłoby gdyby się w sobie nie zakochali.

To też nie spełniła się ta zbrodnia. Na nic się nie zdało, że amerykański finansista — dobrze powiadomiony o wszystkiem co się działo w starym świecie — przepowiadał swej córce cały szereg nieszczęść, jaki ją czeka w związku z bratem męża, w którym przewidział „człowieka przeznaczeń“, mającego trząść całą Europą. Na nic się nie przydały jego prośby, groźby i upomnienia, na nic, że swoją płomienną Julję wysłał w nocy, pełnej burz i grzmotów, cichaczem do Wirginji do krewnych. Po sześciu tygodniach — wróciła do Baltimore i padła w objęcia Romea, a ojciec pod naciskiem łez i próśb obojga uledz musiał. Pozwalając jednak na ślub, kazał go zawrzeć ze wszelkiemi formami prawnemi, w przeczuciu zapewne ataków na jego legalność.

Miodowe miesiące przebiegły szybko, bez czarnych chmur i złowróżbnych wieści z Europy.

Miss Patterson, jedna z najbogatszych i najpiękniejszych marylandek, miała męża, który nietylko był jednym z najpiękniejszych oficerów, ale który już wtedy był tak jak księciem, mogąc mieć tę jeszcze nadzieję, że wkrótce podzieli się z małżonką jedną z królewskich koron.

Być może, że jej te marzenia snuły się po głowie, przynajmniej takby wnosić należało z jej późniejszego zachowania się; Hieronim jednakże był tak zakochany i szczęśliwy, tak dumny z posiadania czarującej kobiety, że tych marzeń nie roił wcale, a posądzenia go o zdradę już naówczas (W. M. Oettinger: *König Jerome auf Capri*, 2 tomy) są niesprawiedliwe.

Nowozaślubieni noszeni byli na rękach w Baltimore i w Waszyngtonie; francuski poseł tamże, Tuerreau, nie wątpił ani na chwilę, że pierwszy konsul, również jak on, z tego szybko zawartego związku cieszyć się będzie.

Nie był tylko spokojnym w tej mierze ojciec młodej Elżbiety.

Dlatego wysłał zaraz po ślubie na jednym ze swoich okrętów swego powiernika do Roberta Liwingstona, ówczesnego posła Stanów Zjednoczonych przy francuskiej republice, z dokładną informacją; nadto posłał syna swego Roberta, naczelnika domu jego w Amsterdamie, do Paryża, ażeby razem z Liwingstonem starał się usunąć wszelkie przeszkody, jakieby ślub córki mógł napotkać ze strony pierwszego konsula.

Atoli Napoleon wyrzekł już swoje słowo, które obaliło do szczętu i odrazu wszystkie ich nadzieje i marzenia.

W dniu 20. kwietnia 1804 zawiadomił francuski minister marynarki, Dacres, jeneralnego konsula w Nowym-Yorku, p. Pichon, że porucznik Hieronim Banaparte ma z rozkazu pierwszego konsula powrócić pierwszym okrętem francuskim płynącym do Francji, i że równocześnie zakazane jest wszystkim francuskim kapitanom okrętów najsurowiej „przyjąć na pokład młodą kobietę, którą sobie obywatel Hieronim Bonaparte do swego boku przyczepił, lub też pozwolić na jej wylądowanie u brzegów Francji.“

Dla dodania mocy temu nakazowi przestano przesyłać wszelkie zasiłki pieniężne Hieronimowi, a nadto tenże jeneralny konsul otrzymał wkrótce potem dekret senatu francuskiego tej treści: „prawem z 11 ventore zakazuje się wszystkim urzędnikom cywilnym Francji zaregestrowania do ksiąg aktu tak nazwanego małżeństwa, które zawarł Hieronim Bonaparte za granicą podczas swojej małoletności a bez zezwolenia swojej matki i ogłoszenia publicznego uprzedniego w swoim kraju“.

Co pierwszy konsul zaczął, tego dopełnił nielitościwiej jeszcze późniejszy cesarz. Wśród wrzawy festynów, wyprawianych z powodu jego koronacji, podyktował on ministrowi Dacres następne słowa: „Przyjmę Hieronima z otwartemi ramiony, jeżeli tę młodą osobę pozostawi w Ameryce, i los swój z moim połączy. Jeżeli się poważy przywieść ją z sobą, to niechaj na ląd francuski nogą nie wstępuje. Jeżeli przybędzie sam, dorowany mu będzie błąd jego młodości. Myli się jednak, jeżeli liczy na moje uczucia, które byłyby zdolne przebaczyć jego głupstwom. Mój stosunek pokrewieństwa do niego wyklucza ojcowską słabość i łagodność. Ojciec może być ślepy i mylić się może, bo on i syn jego jedno stanowią. Lecz czemże dla mnie jest Hieronim? Będąc sam sprawcą swojego losu, cóż zawdzięczam moim braciom? Chcąc zbierać złote żniwa, muszą się poddać moim rozkazom i pomagać mi swemi usługami“.

Cóż dziwnego, że Napoleon, gdy Elżbieta odważyła się w marcu 1805 puścić w podróż ze swym mężem, gróźb swych dopełnił?

Przeprawa ta młodych małżonków miała w sobie coś istotnie książęcego. Odbyła się na statku „Erin“, będącym własnością jej ojca, a którego dowódcą właściwym ona była. Jednakże nie odważyła się wylądować we Francji. Zwrócili się do Lisbony. Ztąd miał udać się Hieronim do Paryża, ażeby osobiście wymódz na Jowiszu przyzwolenie na ich związek. Elżbieta miała się dostać okrętem do Bordeaux i tam dalszych przeznaczeń wyczekiwać. Ale Napoleon uprzedził ją. Nakazawszy na nowo swojemu ministrowi marynarki nie dopuszczać „kochanki“ Hieronima do brzegów Francji, wysłał do niej z zapytaniem czem służyć może „pannie Patterson“? Odpowiedziała: „Powiedz pan swemu monarsze, że pani Bonaparte przybyła do Europy, ażeby zażądać praw swoich i swego stanowiska w rodzinie cesarza.“

Rozpoczęła się wojna, tem dziwniejsza, że młoda ta kobieta była najgorętszą wielbicielką Napoleona; nigdy się też ani przedtem, ani potem nie kryła z tem uwielbieniem, tak jak się nie kryła z pogardą dla swego małżonka, który pojechał do Paryża, ażeby nigdy więcej do niej nie powrócić.

Elżbieta wróciła się ztamtąd do Hollandji i oczekiwała tu chwili, w której miała zostać matką, a chciała aby dziecię jej urodziło się na ziemi francuzkiej. Ale i tu sięgnęła ręka cesarza — tak, że znużona i samotna, musiała się poddać. Dopłynęła do Cerberwell i tu powiła syna, któremu dała na chrzcie imię Hieronima Napoleona Bonaparte. Zawiadomiła o jego urodzeniu cesarza i męża swego. Mąż odpowiedział jej listem, wyrażając wieczną miłość i wierność z prośbą jednak aby do Ameryki powróciła. Cesarz jednak otwarcie nakazał rozwód i otrzymał go na mocy tego, że Miss Patterson jest „protestantką,“ ale papież oparł się temu, twierdząc, że arcybiskup ślubu dopełnił.

Młoda matka, powróciwszy z trzechmiesięcznem dzieckiem do Baltimore, przyjętą była szyderstwy. Nawet z ojcem swym tak się poróżniła, że się rozstali ze sobą na zawsze. W tej rozterce szukać trzeba przyczyny, dla której, mimo swej nieużiętej dumy, przyjęła od cesarza 12,000 dollarów rocznej pensji. Dziwna rzecz, ale oboje. Napoleon i ona, pokrewni byli sobie siłą ducha. Kiedy Hieronim, połączywszy się wkrótce z księżniczką Badeńską, przysłał Elżbiecie tytuł książęcy i roczną pensję 40,000 dollarów, ona nie przyjęła darów ani tytułu, odrzekłszy: „Królestwo Westfalji może być piękne i wielkie, ale dla dwóch królowych nie jest przecież dosyć wielkie.“ Odpowiedź ta tak się podobała cesarzowi, że po długich ugodach przeznaczył jej z prywatnej swej szkatuły 12,000 dollarów rocznej pensji i równocześnie jednorazową sumę 20,000 dollarów. Pensję wypłacano jej regularnie aż do upadku Napoleona; jakkolwiek na kwicie podpisywała się zawsze: „Elżbieta Bonaparte.“ Dodała też przy kwicie te słowa: „Wolę się udać pod skrzydła orła, aniżeli pod pióra gąsiora.“

Po upadku Napoleona przybyła do Europy raz dlatego, ażeby syna swego wychować, a potem ażeby praw swych dochodzić. Z oszczędności porobionych z pensji zebrała znaczny majątek, tak że mogła wystąpić w Europie odpowiednio do swych pretensji. Wszędzie też znalazła uprzejme przyjęcie i z owych to czasów dochowało się mnóstwo anegdot i odpowiedzi, z któremi ta nadzwyczaj piękna jeszcze i dowcipna kobieta odezwała się tu i owdzie.

Lady Morgan mówi o niej w swych pamiętnikach, „że los swój umiała znosić nie jak męczennica, ale jak kobieta odważna pogardzająca światem. Listy jej pisane są przepysznie, sarkastycznie i z uczuciem doznanej krzywdy. Ze swą urodą, dowcipem i obejściem byłaby prawdziwą księżną, chociaż była tylko Amerykanką“.

W Paryżu uganiano się za jej towarzystwem, a jeden z francuskich pisarzy unosi się nad całem jej niezwykłem zjawiskiem. W Wiedniu książę Metternich był z równem dla niej uwielbieniem. U jego stołu zapytana raz przez panią Troloppe, autorkę dzieła o Amerykanach, w którem przedstawia ich jako ordynarnych, czy pamięta ten ustęp, odrzekła: „Nic dziwnego, wszak Amerykanie pochodzą od Anglików. Gdyby pochodzili od indjanów lub eskimosów, byliby inni“. Tayllerand równie legł przed nią na kolanach, mówiąc: „Czaruje swojemi oczami, a przebija języczkiem“.

Celem jej życzenia było wyrobić uznanie swego domu jako szeregu Napoleonidów. Udało się jej to mlicząco, gdy później w Europie zapoznała się z członkami Bonapartych. Mimo, że z usposobień była republikanką, dbała jednak o przyznanie tytułu książęcego jej synowi (za Arłemu na lat 9 przed jej śmiercią) i dlatego odmówiła raz zaproszenia prezydenta Stanów Zjedn., gdy do niej napisał jak do „Pani Patterson“.

Po ojcu odziedziczyła kilka domów, ale ojciec, który w testamencie jeszcze gorzko się na nią skarżył pokrzywdził ją istotnie. Ona zaś wyraziła się o nim, iż byłto bogaty a niesprawiedliwy ojciec, który ją wydziedziczył. Mimo to zebrała sama tak wielki majątek, iż mogła się nim poszczycić każda prawdziwa księżniczka. Kiedy gwiazda zabłysła na nowo nad Napoleonem III, przybyła znów do Europy, synowiec jednak Napoleona I. żywił takie same dla niej uczucie co i stryj, ale pensję 14.000 dolarów przeznaczył dla syna, którą jednak cofnął gdy po śmierci Hieronima w r. 1860, pani Patterson zaatakowała jego testament. Wszczęty naówczas proces wypadł dla niej nieszczęśliwie. Zyskała tyle tylko, że jej wolno było nosić nazwisko Bonapartych.

Niewiadomo też, czy ta staruszka umarła zadowoloną? Ale to wiadomo, że mało kogo dopuszczała do swej poufałości, zaledwo dwóch swych wnuków. Pewnego razu, gdy jedna dama z Europy pragnęła się z nią zobaczyć, otrzymała odpowiedź: „Dziś nie jest otwarta buda dla widzów“. A gdy jeden z reporterów usilnie prosił o audjencję, otrzymał ją, ale nasłuchał się tyle gorzkich prawd o dzisiejszem natręctwie dziennikarskiem, że zapewne raz drugi nie podjąłby się tej misji

Trzy więc kobiety prowadziły wojnę z wielkim Napoleonem; królowa Luiza Pruska, pani de Stael i Elżbieta Patterson.

Pierwsza straciła na tej walce połowę swego kraju, druga wolność oddychania w swej ojczyźnie, trzeciej nie popatrzał nigdy w oczy — gdy z tamtemi rozmawiał nieraz — wolał oszańcować się przed nią niedostępnością.

A jednak, kto wie — czy, gdyby się tylko raz rozmówili, losy nie wypadłyby były całkiem inaczej nietylko dla amerykańskiej żony jego najmłodszego brata.

Treść Nr. 21.

Z drukarni Dziennika Polskiego. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.